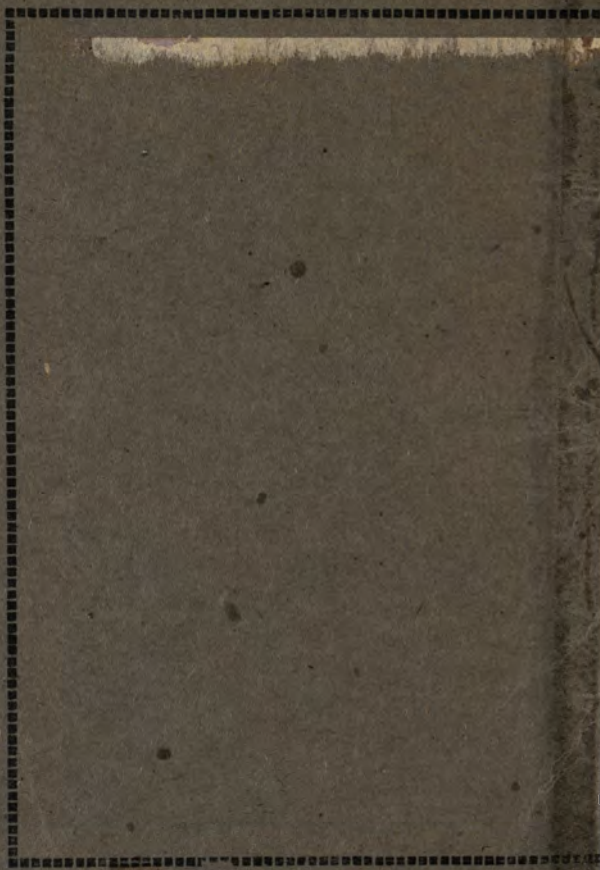


Novenné rozprávání w literaturě

POD WARSZAWA



PRZED FL

ZROZPACZENI W LITERATURZE

ARZYSTWA W LITWIE

ZROZPACZENI
W LITERATURZE.

STUDYUM LITEPACKIE

WALERYI MARENNE

(MORZKOWSKIEJ).

*Drukarni i Drodzy Panowie
Władysławowi Nowickiemu ofiaruję
W. Marenne*

WARSZAWA.

DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,

ulica Nowolipki, Nr. 2406 (3).

1878.

WYDZIAŁ

W. LIT. I. J. MICHAŁOWICZ



STUDIUM LIT. I. J. MICHAŁOWICZ

W. LIT. I. J. MICHAŁOWICZ

W. LIT. I. J. MICHAŁOWICZ

Дозволено Цензурою.

Варшава, 26 Апрель 1878 года.

Handwritten text, likely a library or collection stamp, partially legible and mirrored.

8428

<http://rcin.org.pl>

I.

„Dlaczegoż takie jak ja istoty snuć się mają pomiędzy ziemią a niebem?“ — mówi Szekspir w Hamlecie.

Te słowa, jakby wieszczym wypowiedziane duchem, dają się zastosować do całego kierunku literatury, który odezwał się tak odrębnymi tonami w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku.

Jest-to literatura zrozpaczenia, nazwana od jednego z głównych koryfeuszów swoich Byroniczną, chociaż Byron nie był ani pierwszym, ani jedynym jej przedstawicielem. Nieśluszenie też byłoby kłaść na karb jednego człowieka, lub nawet grupy ludzi, chociażby obdarzonych największym geniuszem, to, co było wytworem wieku.

Literatura nie jest oderwanym objawem myśli ludzkiej; łączy się ona z wypadkami dziejowemi, z wiedzą i wiarą chwili, jak roślina łączy się korzeniami z ziemią, na której wyrasta.

Nie można jednak zaprzeczyć, że w kierunku

tym było coś epidemicznego. Geniusze które pierwsze głosić zaczęły pieśń rozpacz, były takiej miary, że pociągnęły świat w koleję przez siebie wyżłobioną i narzuciły mu swoje myśli, uczucia, wzgardy, przekleństwa. Ale kierunek ten odpowiadał także potrzebie czasu, był skutkiem ogólnego prądu, na którego wyrobienie wpłynęły nie tylko indywidualne, ale powszechne przyczyny.

Czémże bowiem jest zrozpaczenie? Dysharmonią pomiędzy pragnieniem a rzeczywistością — przeświadczeniem o niepodobieństwie wcielenia marzeń, a wreszcie poczuciem znikomości istnienia, wstrętem do nieodzownych konieczności życia: starości, kaléctwa, śmierci, lub wstrętem do ułomności ludzkiej natury.

Każdy z tych czynników wystarcza, by wyrobić posępne poglądy i wprawić w drzenie studziwiczną strunę bólu. Każdy też ma swoich przedstawicieli, którzy za jego sprawą wkroczyli w wieki Hades cierpień bez osłody, bólów bez końca.

Zrozpaczenie więc ma swoją rację bytu w samej istocie natury naszej, odzywać się musi w daną chwilę w każdym szerszym umyśle. Jest to jeden z wiecznie odzywających się dźwięków ludzkiego ducha, a jeśli dźwięk ten w jednej epoce rozrósł się nadmiernie, niepodobna winować o to pewnych tylko indywidualności, lub przypisywać jedynie ich wpływowi nastrój całej literatury.

Chorobliwość tego nastroju stanowi właściwie nie sama rozpacz, zrozumiała dla każdego z żyjących, ale rozpacz przechodząca w stan chroniczny, lubowanie się w niej, wyszukiwanie wszystkich ujemnych stron bytu, zwątpienie przenikające

wszystkie uczucia i stosunki ludzkie, a nadewszystko potarganie wszystkich moralnych węzłów.

To stanowi właśnie główną cechę bohaterów owej epoki, to odróżnia stanowczo ten moment literatury od wszystkich innych momentów. Oprócz więc przyczyn, działających ogólnie w danej chwili na każdego człowieka, musiały być przyczyny szczególne, właściwe tej właśnie dziejowej chwili, które, podsycając posępne poglądy i pozbawiając ich przeciwważników, powlokły kirem horyzonty myśli.

Na to, by zrozpaczenie zagłuszyło wszelkie inne dźwięki ludzkiego ducha, by pochłonęło wszystkie miękkie uczucia, by zajęło miejsce przyjaźni, miłości, enoty, wiary i zapanowało samowładnie w piersi poety, trzeba żeby grunt był przygotowany, czyli żeby w piersi tej nie istniał żaden syntetyczny pierwiastek, zdolny stawić mu czoło i ocalić cokolwiek z rozbicia nadziei. Trzeba nadto, by syntetyczne pierwiastki zagłuszone były również w łonie mas, bo inaczej głos poety, nie znajdując oddźwięku, musiałby skonać bez echa.

Kiedy człowiek wśród cierpień i burz życia może ideał swój przenieść w świat lepszy i czekać spełnienia aspiracji swoich w zagrobowej przyszłości; kiedy, odwracając oczy od nędz ziemskich, znajdzie odpoczynek w oczekiwaniu nieśmiertelnej sprawiedliwości — wówczas jeszcze, jakakolwiek spotkałaby go dola, rozpaczać nie może. Zrozpaczenie bowiem jest owocem zwątpienia i koniecznie z niem iść musi w parze.

Ale jeśli ognista wyobraźnia wytworzyła marzenia niedościgłe; jeśli serce ukochało gorąco sprawiedliwość, cnotę i wysokie abstrakcyjne pojęcia, stanowiące szlachetny skarb ludzkości; je-

śli człowiek wchodził w życie pełen prostoty i wiary, a te omylone zostały; jeśli tam, gdzie dawał uczucie, spotkał zawód; jeśli płacono mu kłamstwem za prawdę, zdradą za szczerość, sztyrderstwem za wylanie; jeśli patrzeć musiał na ponizenie tego co wielkie, na tryumf nikczemności; jeśli widział, jak miejsce, należne zasłudze, podstępem brała nieudolność, a świat skarłowaciały czcił to co godne pogardy i niedość że bił pokłony złotemu cielcowi, ale jeszcze stroił go we wszystkie cnoty i pozory; jeśli jeszcze, odwracając wzrok od ziemi wyludnionej z ideałów, podnosił go w niebo wyludnione z bogów—to zrozumieć łatwo, że rozpacz jego musiała stawać się tém głębszą, tém silniejszą, im bogatszą była natura, im zdolniejszą czuć goręcej, głębiej myśleć i gwałtowniej pożądać.

Są to wiekuiste przyczyny, które wiecznie działają i działać nie przestaną na człowieka, tylko że, stosownie do indywidualnej siły i panującego prądu, wyrabiają one szlachetne protesty, dzieła napiętnowane żądzą zmienienia kierunku świata, lub téż nieprawidłowy nastrój umysłu i pomieszanie wszystkich pojęć.

Miazmaty moralne podobne są w tym względzie do fizycznych miazmatów: rzadko przyjmują się w zupełnie zdrowym organizmie—potrzebują trafić na właściwe usposobienie, by wyrobić chorobliwe wypadki. Są nietylko indywidualna, ale chwile, w których miazmaty te giną bez śladu; są inne, w których wytwarzają groźne epidemie. Początek naszego wieku był właśnie taką złowrogą chwilą. Indywidualna niewiara znajdowała echo i odbicie w ogólnym sceptycyzmie, zrozpaczenie jednostki w zrozpaczeniu ogólném.

Złożyło się na to wiele bardzo powodów. Cza-

sy przeszłe, a mianowicie wiek osiemnasty, zostały nam po sobie tę smutną spuściznę, chociaż choroba trapiąca początek naszego stulecia nieznaną mu była nawet z nazwiska. Miał on zbyt wiele innych rzeczy do roboty, miał jakiś cel niewyraźny wprawdzie, ale pożądaný gwałtownie, ku któremu dążył potęgą myślicieli swoich, a wreszcie budzącem się z wiekowego uspienia poczuciem mas. Wiek-to był szczególny i złożony z rozmaitych pierwiastków, kłócących się wzajemnie, które musiały koniecznie doprowadzić do dziejowej katastrofy, mianowicie téż we Francyi, jako przodownicy cywilizacyi, w której w owęj chwili skupiły się losy ludzkości. Na szczycie piramidy społecznej rozsiadło się ostateczne zepsucie, rozpasanie wszelkich żądz, starganie wszelkich węzłów, zamącenie pojęć. Naród, który widział na swoim czele takiego Dubois, taką Dubarry, musiał z konieczności nauczyć się nie szanować i patrzeć na swywołę i zbrodnię z jedną obojętnością. Demoralizacya, idąca zgóry, przesiąkała średnie warstwy społeczne, a w dole samym masy przygnębione i ciemne niekiedy tylko głučném drganiem poczuć dawały że istnieją one także, że cierpią, że pożądają.

A pośród górnych, brudnych żywiołów i brutalnej siły na dole, grupa myślicieli i utopistów marzyła o szczęściu powszechném, o złotym wieku ludzkości, stawiając go zwykle przez dziwne przeinaczenie pojęć w stanie barbarzyństwa, który wielbiono powszechnie, jako tak zwany stan natury. Więc Voltaire, Rousseau, Diderot, każdy po swojemu, stawiali za wzór pierwotną szczęśliwość i niewinność świata, które cywilizacya jakoby zniweczyć miała.

Teorya każda, silnie ugruntowana, prędzej lub

później musi wejść w praktykę, a przynajmniej musi ku temu dążyć. Filozofowie więc francuzcy zaczęli w dobrej wierze zastanawiać się nad sposobami usunięcia złego, a skoro do stanu natury powrócić było niepodobnym, zaczęli tworzyć utopie społeczne najrozmaitszych form i barw, jedne nieprawdopodobniejsze od drugich.

Jeśli jednak zachodziła trudność w określeniu tego, do czego dążyć należało, i zgodzeniu się na jedno określenie, nierównie było łatwiej zrozumieć to, co stało na zawadzie przeprowadzeni u szalonych marzeń i dziwacznych planów.

Encyklopedyści, zburzywszy gmach religii, zaprzeczywszy człowiekowi wszelkiej zagrobowej przyszłości, uczuli się w obowiązku dać mu coś na to miejsce i wierzyć zaczęli, że za ich sprawą zejdzie nad masami jutrzienka szczęścia, a ten tradycyjny padół płaczu zmieniony być może w nowy Eden przedgrzechowego Adama.

Było to zaiste piękne marzenie. Marzeniem tym upoili się oni tak dalece, że stało się ono ich wiarą. Świat przyjął ją na słowo, bo świat widział niemożliwość dalszego *statu quo*. Spróchniałe podwaliny społeczne kruszyły się na każdym kroku, wiara niebiańska była obalona, a świat potrzebuje ideału.

Potrzebowano wierzyć, więc wierzone (bo i w cóż nie wierzone wówczas) iż pociągnięciem pióra mażą się i wytwarzają obyczaje, przekształca społeczeństwo. Wierzone nawet, iż ogłaszając prawem wolność, równość i braterstwo, można zapewnić ich panowanie na ziemi, zniweczyć dźwignię własnego interesu i zmienić sprężyny działań ludzkich.

Były to piękne, młodzieńcze chwile ludzkości, kiedy naród cały, jednym pchnięty uczuciem, o-

głaszał prawa człowieka i wykonywał na nie przysięgę. Świat wprawdzie odwrócił oczy od niebios, nie szukał po za grobem rozwiązania zagadki swego losu, ale zato z jakąż miłością patrzył na ziemię, jak próbował ziszczyć na niej królestwo Boże. z jaką wiarą spoglądał w przyszłość! Nie znano wówczas częściej kontemplacyi, mglistej melancholii, a tém bardziej zrozpaczenia. Ziemia rozbrzmiewała hymnem na cześć dobroczynnej natury i odrodzonego społeczeństwa.

Ludzie pracowali gorączkowo nad burzeniem wszystkiego, co istniało dotąd i tak byli zajęci tą robotą, że nie zastanawiali się nad tém, co na to miejsce postawią. Było to może następstwem przekonania, że pierwotny ustrój świata był doskonałym, sądzono więc że za obaleniem narzuconych zapór, stosunki same ułożą się do równowagi. W każdym razie, burzenie nie szło tak łatwo; każda cegła, usuwana z budynku, pociągała za sobą cegłę inną, aż przychodziła kolej i na te, które oszczędzać zamierzano.

Burzyciele nie mieli czasu na bezcelowe cierpienia, nieznane zwykle ludziom czynu, bo czyn każdy wypływać musi z wiary że pożytecznym będzie. Ludzie 89 roku mieli swoją wiarę negatywną w wielu rzeczach, ale po większej części szczerą. Ta wiara była zrazu przewodnią gwiazdą rewolucyi francuzkiej, która chciała świat stary wzruszyć w posadach i pchnąć na tory nowe, nie powolną pracą pokoleń, ale jednym zamachem zjednoczonych sił kilku inteligencyj, i urabiać posłuszną glinę ludzką w kształty, jakie dla niej marzono. Owo tytaniczne marzenie wrzało niemal w każdój piersi. Świat, rozkuty z pęt społecznego porządku, rozkoszował się jak dziecię i rwał do cudnych mirażów, które mu po-

kazywano niebacznie. Wypadki musiały zawieść podobne nadzieje, okazać nicość szlchetnych marzeń, a jeśli nie zniweczyły aspiracyj ludzkości, dowiodły że dzień, w którymby one ciałem stać się mogły, jest jeszcze bardzo odległy, i że żaden z tych, co ze szczytów myśli dojrzeli ziemię obiecaną, nie mógł dostąpić jej królestwa.

Nastąpiła walka wściekła, zamęt wszystkich pojęć i stronnictw. Zdrada zbroiła się słowami wykradzionymi z ust postępu, postęp cofał się do barbarzyństwa. Mordowano w imię braterstwa, krępowano ciała i sumienia w imię wolności, równość stała się hasłem tyranii.

Zwycięstwo szlchetnych pierwiastków okazało się bardziej krwawe od ucisku, a łagodne doktryny miłośników społeczeństwa doprowadziły do gilotyny. To starczyło zaiste do zrozpaczenia ludzi dobrej woli. Było to ostateczne bankructwo pokolenia, co zamknąwszy przed sobą szranki wieczności, byt swój stawilo na kartę powszechnego szczęścia i zawiedzione zostało.

Wprawdzie rewolucya francuzka była w rezultacie olbrzymim krokiem naprzód, ale tego nie mogli zrozumieć ci, co marzyli o bezwzględ-ném przetworzeniu społeczném. Było to wcale co innego, niż ich marzenia, nie nato burzyli, by stare uciski istniały, nie nato, by ludzkość cierpiała dalej.

Później, z odległości lat wielu, spojrzano spokojniej na tę wielką przegraną utopistów osiemnastego wieku, sformułowano prawa rządzące biegiem wypadków. Zrozumiano iż rzecz, powstała w głowie myślicieli, musi wsiąknąć wprzód w krew i życie narodu, być wiarą najniższych warstw towarzyskich, zanim stać się może faktem. Zrozumiano że obyczaje, nawyknięcia, zboczenia wy-

robione wiekami, nie dadzą się wykorzenić odrazu, zapomocą rządowego dekretu, choćby wydała go sama Konwencya lub Komitet zbawienia publicznego, bo z kolei zboczenia te wytwarzają znowu konieczności sobie właściwe. Zrozumiano że burzenie nie jest jeszcze budowaniem, i na miejscu usiłowań jednostki, postawiono dziejową Nemezys, czyli bezosobisty fatalistyczny pierwiastek, z którego, z koleją czasów, determinizm zrodzić się musiał.

Łatwo pojąć że te filozoficzne pewniki, owoc gorzkiego doświadczenia, wyrobione po czasie, nie były w stanie pocieszyć tych, co padli ofiarą ich nieznamości.

Ludzie widzieli w gruzach gmach stawiany z zapalem, widzieli że owa wiara, której tyle poświęcili, która utrzymywała ich gorączkową energią, słodziła bóle, łagodziła nawet wyrzuty sumienia, okazała się znikomą marą.

Ich zawód zaciężył na początkach tego wieku i zatrzał nowe pokolenie, które rozglądając się wkoło, znalazło tylko gruzy i zgliszcza. Wiara niebieska, zarówno jak ziemską, przebrzmiała, ideały zostały rozwiane, a olbrzymie wysilenia i zbrodnie nie wywalczyły nic — nie zmieniły postaci świata i zostawiły przyszłości trudniejsze może jeszcze zagadnienia do rozwiązania.

Pokolenie to zaczęło szukać przyczyny przegranej swych ojców i doszło do przekonania, że wiekiustym wrogiem ludzkości jest sam człowiek. Jemu to zaczęto wyrzucać wszystkie cierpienia i zawody, on to stał się celem nienawiści i głównym winowajcą.

A tymczasem przed oczyma przerażonego społeczeństwa, które straciło wiarę w siebie, stanęło do rozwiązania problemata, przechodzące jego

siły i pojęcia. W dziedzinie faktów pokolenie to spotkało słusznie obudzone pragnienia mas, które domagały się praw nie w granicach już im udzielonych, ale wkraczających w nieskończoność. Zaspokojenie jednego żądania natychmiast budziło drugie. W dziedzinie moralnej rozszalałe instynkta nie spotykały żadnych zapór. Do téj chwili etyka wiata spoczywała na teologicznych podstawach, niedziw więc że z usunięciem wiary nie ostał się ani jeden obowiązek, ani jedno prawo moralne. Lękliwi cofali się przed ostatecznymi wynikami faktów spełnionych i zatrzymywali w biegu myśl własną, ale potężne umysły nie mogły się zaspokoić żadnym półśrodkiem, ani półwiarą.

Wówczas-to powiał nad światem smętny wicher zwątpienia, a jak huragan pastwi się nad szczytami, tak on dotykał głównie tytanów myśli, którzy znowu przykładem swoim, porywającą siłą geniuszu, szerzyli wkoło zatrute pierwiastki, jakie pożerały ich samych. Były-to ofiary, byli-to twórcy umysłowej zarazy. Każdy naród odczuł ją po swojemu, każdy autor wcielił w formę sobie właściwą. A przytem zaraza ta, na podobieństwo fizycznej choroby, miała swoje wyraźne okresy, związane nicią jednakich przyczyn i przebiegające się jedne w drugie.

Pierwszy można śmiało nazwać okresem ostrym pogardy i przekleństw.

W okresie drugim rozpacz mieni się w śmiech szyderczy.

Aż wreszcie w trzecim zniechęcenie powszechne, ciężące nad światem, przenika myśl ludzką i wszelkie jój objawy.

Literatura pozbyła się wprawdzie gwałtownych wykrzykników, lub wybuchów konwulsyjnej ironii,

wypogodziła oblicze przynajmniej z pozoru. Jednak, zajrzawszy do głębi wszystkich niemal objawów myśli, znajdzie się w nich zwątpienie, przeszłe niejako w stan chroniczny, zwątpienie z którym ludzkość zżyła się niejako i przyjęła je na powszedni chleb istnienia.

I niedziw. Dopóki trwają przyczyny, skutki wywołane trwać muszą także; jeśli zmienia się ich forma, treść zostaje jednaka. A ponieważ żaden z czynników, które wywołały kierunek literatury rozpaczy, usuniętym nie został, dziwić się też nie można trwającym skutkom. Potrzeboby na to radykalniejszego lekarstwa, niż to które wynaleziono dotąd. Niekażda indywidualność i niekażda literatura poddaje mu się w zupełności, są przeciw niemu walki i protesty. Ale indywidualne usiłowania jak nie były w stanie wywołać tego prądu, tak i zmienić go nie mogą i pozostają zawsze oderwanymi faktami.

Przegląd literatury rozpaczy byłby to więc przegląd całej niemal literatury dziewiętnastego wieku, zadanie o wiele zbyt szerokie na ramy niniejszej pracy. Zmuszona więc jestem trzymać się ogólnych rysów, szkicować więcej niż dowodzić i na scharakteryzowanie rozmaitych okresów wybrać najwybitniejsze tylko, najbardziej znane indywidualności. Wkońcu zastanowię się nad odrębnymi cechami, jakie zrozpaczenie przybrało w naszej literaturze, i nad powodami dla których tak się stało.

Panuje ogólne przekonanie, że narody północne, siłą rasy i klimatu, więcej od innych odczuły prąd zrozpaczenia i stały się jego najsilniejszymi rzecznikami. Na poparcie tego zdania cytują powszechnie dzieła Byrona, oraz kreacje takie, jak Werther Göthego, bo jeden i drugi wywarli

przeważny wpływ na literaturę i obyczaje ówczesne.

Tymczasem jeśli dzieła burzliwego angielskiego lorda, lub obiektywny utwór najplastyczniejszego z poetów, rozeszły się szeroko po świecie, z pominięciem innych utworów tego kierunku, stało się to za sprawą przyczyn rozlicznych, pośrednio tylko z literaturą związanych.

Był to czas, w którym oczy Europy całej przeważnie zwrócone były na Anglię. Zawzięta walka, toczona przez nią z nowożytnym Cezarem, postawiła ją na piedestale. Ztąd i język angielski rozpowszechnić się zaczął, a literatura wywarła wpływ stanowczy na całe piśmiennictwo europejskie i stała się nawet poniekąd tego ruchu powodem, wprowadzając do napuszonego klasycyzmu utwory takie, jak Shakespeare'a i Macphersona. Była to rewolucya w literaturze, równa téj, jakiej uległo społeczeństwo, odbicie w dziedzinie myśli stoczonej walki i obalonego przywileju.

Dziwić się temu niepodobna. W intelektualnym, zarówno jak w dotykającym świecie, niema oderwanych faktów. Wszystkie się łączą, każdy jest wynikiem tych, co się już stały, powodem tych, co się dopiero staną. Obalenie jednej powagi, uświęconej tradycyą, musiało pociągnąć z sobą zachwianie wszystkich innych powag, i to na każdym polu.

Nowe prądy literackie szukały sobie wzorów i ideałów po za uświęconemi wzorami, więc też germańscy i angielscy poeci, niemający nic klasycznego i przez to samo odpowiadający potrzebom chwili, zapanowali na horyzontach myśli, a dzięki geniuszowi swemu, nadali ówczesnej chwili swoje nazwisko.

Tymczasem w organizmie społecznym odby-

wała się dalej robota zniszczenia; działo się z myślą ludzką to samo, co działo się ze społeczeństwem w rewolucyi francuzkiej: rozkładowe czynniki nie zostawiały na miejscu żadnego syntetycznego pierwiastku; wiara, zniszczona w jednym kierunku, pociągała za sobą wiarę w rozmaite abstrakcyjne idee. Słowa tylko, pozbawione znaczenia, błąkały się po świecie, niby moneta obiegowana, która straciła swą wartość, a jeszcze z kursu wyjść nie może.

Ludzie oglądali się wokoło z niedowierzaniem, nie wiedząc i nie mogąc obliczyć się jeszcze, co im zostało z dawnych pojęć.

Wszyscy jednak czuli dotkliwy brak niezbędnych życiowych czynników, i to właśnie stanowi znamię choroby wieku, na którą wynaleziono charakterystyczny wyraz *Weltschmerz*.

Każdy z wielkich poetów i publicystów miał sobie za obowiązek niejako uczcić ją chociażby jedném dziełem, nawet w razie gdyby, tak jak Göthe, sam jej nie podlegał. By się o tém przekonać, dosyć spojrzeć na ówczesną literaturę. Listy Ortisa przez Ugo Foscola, René Chateaubrianda, Obermann Senancoura, Adolf Benjamina Constant—są to utwory ludzi najsprzecznieszych pojęć i nastroju, a przecież wszystkie wyrażają myśl jedną: rozdzwięk ze społeczeństwem, niemożność pogodzenia się z warunkami bytu.

Autorowie przedstawiali *Weltschmerz* subiektywnie, albo obiektywnie, ale przedstawiać go musieli, gdyż szerzył wówczas w całej Europie, a szczególnie w Niemczech i we Włoszech, prawdziwe spustoszenie, faktycznym zaś objawem jego było samobójstwo.

Werthera napisał Göthe na tle prawdziwego zdarzenia. Toż samo uczynił Ugo Foscolo, któ-

remu samobójstwo padewskiego studenta podało myśl do listów Ortisa.

Fakta podobne nie były oderwane, łączyły się z umysłowemi prądami i były przez nie wywołane.

Cóż miało wiązać do życia ludzi, którzy nie wierzyli w żaden obowiązek, nie szukali wcieleńia żadnego ideału, nie znajdowali do ukochania, a którzy z własną dolą pogodzić się nie mogli? A przytém poezya otoczyła śmierć dobrowolną nimbusem swoim, a życie napiętnowała pogardą. Wielkie umysły ze stoicką dumą powinny były opuszczać tę ziemię, z którą nie wiązało ich nic.

Werther i Ortis mają na sumieniu niezliczoną ilość samobójstw. Poczęści za ich to sprawą epidemia moralna przechodziła w dziedzinę faktów. Ludzie zabijali się wówczas dla najbardziej błahych powodów, a często i bez żadnego powodu; zabijali się starzy, zabijały się kobiety, nawet takie którym wszystko zdawało się uśmiechać z pozoru.

Śmierć miała jakieś poetyczne uroki; przygotowywano się do niej, jak do uczty.

Karolina de Günderode, piękna, młoda, wykształcona, jedna z gwiazd arystokratycznego i inteligentnego świata, przez lat kilka koresponduje z przyjaciółmi o zamierzonym samobójstwie aż wreszcie spełnia je z zimną krwią.

Karolina Stieglitz, żona poety, lękając się by talent męża nie utonął w powszedniem życiu, wbiła sobie sztylet w piersi, ażeby wywołać w nim silne wrażenie i dać mu natchnienie poetyczne.

Charakterystyczném znamieniem epoki jest to, że chociaż samobójcy niejednokrotnie potracają

o miłość, lub jakie inne uczucie, uczucie to nosi zawsze niedołęzną i ponurą cechę.

Możnaby rzec iż ludzie, przerażeni pustką własnego bytu, próżnością usiłowań swoich, czepiali się jakiegobądź zbawczej nici, chcąc wysnuć sobie wążek istnienia, lub znaleźć w nim ostatnią kroplę goryczy, przepelniającą czarę życia. Ztąd uczucie było często ostatecznym, ale wcale nie jedynym powodem samobójstwa.

Myśl tę nawet wypowiedział dosadnie polski poeta Garczyński, najwybitniejszy może przedstawiciel zrotpaczenia w naszej literaturze:

Tak często tonącemu w bezbrzeżnej topieli
Rzuc z brzegu nitkę słabą rwącą się kądzieli,
On za nią, jak kotwica za grunt morski chwyci,
Ale patrz, ledwo sięgnął, słabe rwą się nici.

Miłość Werthera, miłość Ortisa i im podobnych nie ma bynajmniej absolutnego charakteru namiętności, doprowadzającej do ślepego szału; jest to uczucie dziwnie mdłe i refleksyjne, niezdolne oderwać myśli od problemów, które ją doprowadzają do rozpacz, a od tych problemów pozyczące barw ponurych. „Prędzej—woła Ortis—niż miałbym przyłożyć rękę do tego co się wkoło mnie dzieje, wołałbym schronić się do tej wspólnej ojczyzny, gdzie niema ani oskarżycieli, ani wrogów, ani pochlebców, ani książąt, gdzie bogactwo nie jest udziałem występku, gdzie ubóstwo nie jest uważane narówni ze zbrodnią, gdzie dziś lub jutro pójdziemy wszyscy, wszyscy się spotkamy, ażeby w łonie matki ziemi w proch się rozsypać!“

Ortis tutaj zżyma się na cały ustrój społeczny;

Werther także powstaje wymownie na konieczności ludzkiej doli, na życiowe warunki.

„Wszystko tutaj, pisze, na jedném głupstwie się kończy. Widok nieskończonego życia zmienia się przedemną w przepaść wiecznie otwartego grobu. Możemyż mówić *to jest*, kiedy wszystko jak piorun przemija? Nie masz chwili, abyś nie był niszczycielem i być nim nie musiał. Dręczy mnie niszcząca siła, w całej naturze ukryta; ona nie zdoła nic stworzyć, coby zarazem nie było zniszczeniem. O wy, niebo i ziemi! o wy, [wokóło mnie działające. potęgi! widzę w was tylko wiecznie trwającą potworę.“

Słowa podobne nie mają nic wspólnego z miłością, która z natury swojej jest właśnie najsyntetyczniejszém z uczuć. Wskazują one, że zwątpienie ogólne, nurtujące głęboko bohaterów, odbierało nawet ich uczuciu wszelką siłę. Nie umieją oni działać, stoczyć by najmniejszej walki, dla uzyskania ukochanej; miłość, jest to dla nich jeden powód więcej cierpienia—nic innego. Toż samo ma miejsce z innymi warunkami bytu: niezdolni są do żadnego czynu.

Kontemplacyjne, bezcelowe życie rzuca ich bezbronnych na łup nieszczęśliwej miłości.

Ortis ma na usprawiedliwienie swojej beczynności katastrofy polityczne, wśród których żyje; ale Werther nie wspomina zgoła o żadnej szerszej idei i nigdy nie wychodzi po za egotyczną sferę. Czego szuka on w małym mieście, zdala od matki, rodziny? Dlaczego spędza beczynnienie dni młodości? Tutaj leży właściwie powód jego śmierci, tutaj widzimy wyraźnie, iż nie pada on wcale ofiarą wyjątkowej namiętności, która w każdej epoce zdarzyć się może, ale że umiera, bo nie wie, jak żyć ze światem, bo nie ma żadnej

zasady, bo jest-to rozbitek, puszczoney bez steru na morze życia, gdzie prędzej lub później spotkać musi zgubę. A przytém tak samo w nim, jak we wszystkich prawie indywidualnościach téj epoki, widnieje rozkład wszelkich moralnych pierwiastków, doprowadzony do ostateczności.

Werther o cnocie rozprawia często, rozprawia nawet nieustannie, i sam z pewnością sądzi się cnotliwym. Ale co znaczyła wówczas cnota? Cnota Werthera jest zresztą równie mdła i niekonsekwentna, jak miłość jego; jest-to cnota do niczego nieobowiązująca. Cnotliwy Werther wiedzie życie najzupełniej nieużyteczne dla drugich. Cnotliwy Werther zatruwa życie swego przyjaciela, kochając się w jego żonie. Walcząc niby ze swoją miłością, nieustannie mówi o niej Karolinie. Cnotą u niego jest to jedynie, że nie ulega téj miłości. Gdyby jednak inaczej się stało, wówczas, jak to widziemy w ostatnim liście, byłby niezawodnie we własnych oczach równie cnotliwym, tylko ta cnota przybrałaby odmienne kształty. Jest-to bowiem dowolny wytwór wyobraźni, a nie żadna konkretna idea.

Cnota Werthera błąka się, jak on sam, po manowcach; to instynkt, nic więcej, i jak na każdy instynkt, rachować na nią nie można.

Pomimo to, w owym wieku cnota, zarówno jak tkliwość, była w modzie,

Pojęcia moralne pozostały w gruzach wiary, która je wytworzyła, stały się nieokreślone zupełnie, choć w braku innych, posługiwano się niemi z nałogu.

Ten moralny chaos musiał doprowadzić do rozpaczny umysły szczeré, logiczne i żadne prawdy.

Takim właśnie umysłem był Byron, i dlatego

historya jego jest najwymowniejszą ilustracją wieku, a to tém więcej, że wszystkie wady i cnoty podniesione w nim były do potęgi, że górował ponad wiekiem swoim zarówno umysłem i sercem, jak stanowiskiem społeczném. Natura i los dały mu wszystko, czego człowiek zapragnąć może, on zaś wszystko potargał, wszystko zmarnował, żył w udręczeniu, nienawiści i pogardzie, a umarł samotny.

Inni przedstawiciele zropaczenia, prócz ogólnych przyczyn, ciężących nad owym momentem wieku, czerpali je z osobistych lub krajowych okoliczności, jak Leopardi, nazwany kochankiem śmierci przez pokrewnego sobie poetę Alfreda de Musset. Byron, przeciwnie, postawiony był w wyjątkowo szczęśliwych warunkach i dlatego właśnie za typ służyć może.

Na podobnych indywidualnościach najwyraźniej cechują się objawy wieku; wszystko w nich nabiera dobitnych konturów, rysuje się niestartymi barwami. W osiemnastym roku życia Byron wydał pierwsze poezye swoje, które zwróciły na niego powszechną uwagę; w 21 latach zabrał miejsce w Izbie lordów, w 25 ożenił się z piękną, powszechnie podziwianą mis Milbanke. Anglia i Europa cała rozbrzmiewały jego poetyczną sławą.

Cóż stanęło nawspak temu życiu rozwijającemu się w tak bogatej pełni? Co przeszkodziło mu być użytecznym, wielkim, szczęśliwym i poważanym, jak powinien nim być człowiek, który nie potrzebuje marnować sił na walkę z losem, ale wszystkie skupić je może ku szlachetnym celom?

Odpowiedź na to pytanie znajdziemy jedynie we właściwościach jego bogatęj natury i w star-

ciu téj natury z fatalną chwilą, w której przyszedł na świat.

Siła wrażeń jego była niesłychana, potęga inteligencji przechodziła o wiele ogólną miarę. W latach pierwszego dzieciństwa przyjaźń posuwał do fanatyzmu, a miłość zaznał tak wcześnie, że nie był w stanie nawet nazwać jęj po imieniu. Gwałtownem u niego było wszystko, wszystko posuwał do ostateczności — uczucia, myśli, zachcenia, dumę.

Człowiek ten więc podawał szerokie pole nieszczęściu, musiał się na każdej drodze potykać z prądami wieku i odcierpieć jego niedobory w każdym uczuciu. Przedewszystkiem im bogatszą jest natura ludzka, tém więcej potrzebuje regulatora, którego siła mogłaby równowazyć siłę namiętności, trzymać na wodzy pragnienia i wytknąć im cel właściwy. Regulatora tego Byron nie znajdował nigdzie. Gdyby przy bogactwie natury swojej był poddał się jakimubądź kierunkowi moralnemu i znalazł cel godny siebie, byłby został jednym z pierwszych mężów swojej epoki, a poezya jego, zamiast ponurych, rozdartych obrazów i denerwującego wpływu, jaki wywarła, byłaby popłynęła wspaniałem korytem i zostawiła równie pomnikowe dzieła harmonii, jak są niemi pod innym względem owe niesforne a zachwycające fragmenta.

Jednak gdzież miał on znaleźć w owęj chwili cel i kierunek? Czy mogła mu go dać religijna wiara? Wiara podkopana była w zasadach, a w Anglii trzymała się tylko form i formułek, do których tém większą przywiązywano wagę, że duch z nich uleciał. Czy mógł mu go dać porządek społeczny? Rewolucya francuzka pokazała wyraźnie wszystkie jego niedobory i zupełną bezsil-

ność usiłowań, wobec pragnień ogólnych. Czy obowiązek wreszcie? Obowiązek jest-to w istocie ostoją dusz; jest on tém wobec namiętności ludzkich, czém kotwica dla skołatanego burzą okrętu, ale wówczas tylko, gdy kotwica ta oprze się o grunt niewzruszony. Gruntu tego Byron nie dostrzegął, a nie był-to człowiek, coby w czémkolwiek i kiedykolwiek zadowolił się próżnym słowem, lub poprzestawał na jego tradycyjnym znaczeniu. Wbraku zaś moralnego hamulca, był on zanadto szczerym i dumnym, by zachowywać pozory rzeczy w które nie wierzył, lub kierować się ową światową ostrożnością, która tak wybornie dla tylu ludzi zastępuje go w życiu i pozwala pod maską puścić wodze namiętnościom.

Byron nazbyt był bystry, by nie widzieć fałszu bardzo wielu wielkich pozorów, i dlatego spojrzawszy w samego siebie, widział że jest więcej wart niż niejeden z tych, którzy go potępiali.

W logiczném następstwie tego moralnego położenia musiał on puścić byt swój na wolę wypadku, namiętności lub kaprysu.

I tak się stało.

Poezya nie była dla niego cczą rozrywką bytu, była samym bytem.

Wyobraźnia marzyła szalone walki i przygody, niespokojny umysł nie mógł znieść powszednich karbów życia, ram, więzów i formy jego. Marzenia więc swoje wcielał w czyn, a w braku czynu dopiero w poemata. To samo tłumaczy nam jego błędy i upadki. Ciasno mu było na świecie; nic nie mogło wypełnić jego serca.

Szukał wrażeń wśród szalonych przedsięwzięć i szalonych namiętności, chciał do dna wychylić każdą czarę i zbadać w każdej przygodzie bicie własnego serca. Uciekał się do poezyi wówczas

dopiero, gdy rzeczywistość nie sprostала jego-
chęciom, a wtedy stwarzał sobie światy odpo-
wiednie swym pragnieniom. Wśród nich był na-
przemiań panem morza, czarodziejem, aniołem,
wielkim zbrodniarzem lub wielkim zwycięzcą, a
zawsze wodzem, nigdy zwyczajnym śmiertelni-
kiem; wtedy to znajdował pole, by nienawidzić,
klnąć, gardzić.

Poezya jednak nie zadowalała go nigdy w zu-
pełności i na wzór polskiego poety, który wołał:
„Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje“— pisał:
„Co to jest poeta? Cóż on robi? Czego chce? To
poprostu gaduła.“

Byron czuł się zrazu wyższym od otaczającego
świata, następnie wyższym od nieprzyjaciół, któ-
rzy się na niego rzucili, wkońcu wyższym od
swojej doli, a co najważniejsza, od własnych po-
stępków. Ztąd zrodziła się w nim i wzrastała o-
wa duma, którą uważać można w jego życiu jak
i w poezyi za główną sprężynę działań. Duma
jego jest-to ów płaszcz purpurowy którym się, jak
Cezar przed sztyletami, obwija, gdy go w serce
rażą, ażeby umrzeć z niewidzianą twarzą, a niena-
wiść i wzgarda dla świata, to raczej boleść nad
ziemską dolą, nad tém że ludzie nie byli takimi,
jakimi ich pragnął, jakimi chciał ukochać.

„Czyniłem ludziom dobrze, mówi z goryczą
przez usta Manfreda, i spotkałem dobro *nawet*
pomiędzy ludźmi.“

Poezye jego, zarówno jak życie i uczucia, od-
razu stały się wyzwaniem dla społeczeństwa an-
gielskiego, i odrazu też na progu życia młody
lord spotkał nieufność. Poezye jego czyniły nad-
zwyczajne wrażenie, ale zarazem przestraszały.

Walter-Scott, który miał to szczęście że nie
dosiadał wielu z niebezpiecznych zdolności By-

rona, przeczytawszy pierwsze pieśni Child-Harolda, chwalił więsz, ale oburzał się na zbyt śmiałą tendencye. Byron, syu wieku który nie uszanować nie umiał, odważył się wypowiedzieć je głośno; to była pierwsza i podobno największa zbrodnia jego.

Dotknięty krytyką, zaczął ją wyśmiewać z ostrym sarkazmem, którym władał po mistrzowsku, i obruszył tym sposobem na siebie wszystkie literackie powagi.

Czuł potrzebę atmosfery przyjaznej, a znajdował się pomiędzy wrogami, o ile zaś był hardy i wyzywający dla wrogów, o tyle wobec przyjaciół odsłaniał serce swoje gorące i miękkie. Dzika duma jego znikła wtedy zupełnie; nie pokazywał nawet śladu owęj autorskiej drażliwości, o którą go pomawiano zwykle.

Tak na przykład posyłając Murray'owi rękopis Manfreda, daje mu nad nim prawo życia i śmierci. „Nie mam pojęcia, pisze, czy ta rzecz jest zła, lub dobra.“ A jednak Manfred, to może najwspanialsze jego dzieło. Pomimo to pozostała mu reputacya szalonej zarozumiałości. Dziwić się temu nie można. Są ludzie, których losem jest być zawsze powierzchownie sądzonymi. Byron do takich należał. Był zbyt dumny, by tłumaczyć lub usprawiedliwiać się kiedykolwiek; lekceważył tych, którzy go nie chcieli lub nie mogli zrozumieć, a tego właśnie świat nie darowywa nigdy. Zresztą on sam dawał wszelkie pole potwarzy, wyzywał ją niemal, a jednak cierpiał pod jęj dotknięciem. Szlachetne popędy jego były w nieustannęj kolizyi ze światem, jaki go otaczał. Nigdy żadne względy nie były w stanie zmusić go do milczenia, przeciwnie, zdaje się iż znajdował pewną przyjemność w głoszeniu tego, co mogło mu być

szkodliwém, co nie szło w takt ogólnych poglądów.

W czasie gdy Anglia wrzała walką z Francją, w czasie najgwałtowniej pobudzonych nienawiści plemiennych, on wyznawał głośno uwielbienie dla encyklopedystów, fanatyczną cześć dla Napoleona.

Najszałeńszym jednak krokiem jego, krokiem który zdecydował o całej jego przyszłości, było ożenie się z miss Milbank. Dotąd walka pomiędzy nim a społeczeństwem odbywała się w abstrakcyjnych sferach, tutaj wkroczyła w dziedzinę faktów. Był-to wielki błąd jego życia i błąd ten pociągnął za sobą mnóstwo innych. Ożenił się z tą niepojętą lekkomyślnością ludzi, idących bez obrachowania za pierwszym popędem, ludzi, co rzucają przyszłość własną na los szczęścia, z królewską niedbałością duchowych bogaczy. Pokochał jakby na szyderstwo kobietę, namyślnie zda się wybraną wśród wszystkich innych, ażeby doprowadzić go do ostateczności. Zimna, sztywna, ograniczona, uparta lady Byron, ma się rozumieć, była zacięcie przywiązana do form wszystkich, którym jawnie małżonek jój rzucił rękawicę. Zresztą była to osoba nieposzlakowanej cnoty i całe życie odgrywała rolę ofiary, świadcząc przykładnem życiem przeciwko nieszczęśliwemu poecie, który, idąc dalej za szalonymi popędami, zasłynął wkrótce po rozstaniu się z żoną z głośnych miłostek i awantur. Rozstanie się téż małżonków było nieuniknione. Ludzie ci drażnić i odpychać się musieli każdym słowem, każdą myślą, każdym uczuciem. Cnoty ich, zarówno jak wady, były sobie antypatyczne.

Lady Byron dotyla nie mogła sobie zdać sprawy z burzliwój natury człowieka, którego poślu

biła, iż była zrazu przekonaną, że mąż jej nie jest przy zdrowych zmysłach. Przestraszona, wezwała doktorów. Upewnili ją że się myli. Wówczas ze wstrętem i zgrozą rozłączyła się z nim.

Chorego byłaby pewnie pielęgnowała starannie.

W osobie lady Byron uczuło się obrażonem całe społeczeństwo angielskie, które ją wielbiło dla cnót i nieszczęścia, a więcéj jeszcze ażeby okazać Byronowi niechęć swoją. Jest-to uczucie, które znalazłoby się nieraz na dnie wielu admiracyj, gdybyśmy mogli rozłożyć je na pierwiastki. Prześladowano go téż tak mocno, że musiał opuścić Anglią. Opuścił ją śmiertelnie zraniony, a bóle i nienawiści swoje złożył w sławnej pieśni Child-Harolda:

Kochanki, żony płacz mnie nie wzrusz y,
Bo nim zabłyśnie poranek,
Z błękitnych oczów te łzy osusz y
Nowy mąż, nowy kochanek.

Lub dalej:

Nie dbam ku jakim brzegom popłynę,
Bylebym nazad nie płynął.

Byron był niesprawiedliwym względem żony, która nigdy nie miała kochanka, ale trudno w podobnej chwili i z jego usposobieniem spodziewać się sprawiedliwości. Krzywda doznana podniecała go do odwetu. W stosunkach z nią przechodził zwykle od szalonego ubóstwienia, do szalonych wyrzutów. Lady Byron zasługiwała równie mało na jedno, jak i na drugie—nie rozumiała go zgoła.

Oprócz żony, zostawił w pieluchach córkę Adę,

do której pisał śliczne wiersze, którą kochał zapewne całą miłością do jakiej był zdolny, ale która pomimo to była z jego powodu sierotą.

Obowiązek był-to wyraz zupełnie wymazany ze słownika Byrona. A jednak sumienie jego było równie drażliwe, jak nerwy; własne błędy podnosił do potęgi i dręczył się nimi w głębi własnej istoty. To była podobno największa jego męka, męka którą dzielają z nim wszyscy niemal bohaterowie jego poematów.

Lubi on obciążać ich jakąś przeszłością, pełną mgły i tajemniczych zbrodni. Zbrodni tych jednak nie wymienia nigdy wyraźnie; zbrodnia była-to rzecz wstrętna w istocie swojej jego szlachetnej naturze.

A ponieważ pokazywał nam bohaterów w ich podniosłych momentach, chroniąc ich ile możności od zetknięcia z powszednim światem, zbrodnię tę spychał w dal mroczną, zostawiał ją najczęściej domyślności czytelnika. Urok miały dla niego nie zbrodnie bynajmniej, ale wyrzuty sumienia: był-to rodzaj wyrafinowanej tortury, którą zadawał zawsze niemal szlachetnym postaciom przez siebie stworzonym.

„Com uczynił — uczyniłem — mówi Manfred w chwili skonu do szatana, który chce posiadać jego duszę. — W głębi mego ducha są męczarnie, do których nic dodać nie jesteś w stanie. Nieśmiertelny umysł sam jest sobie nagrodą i karą.“

Owe napomknienia o przeszłych czynach, owa wygórowana drażliwość sumienia dostarczyły nieprzyjaciółom jego w Anglii wątka do oszczerstwa; potępiano go na mocy dumnych wyzwania jakie rzucał społeczeństwu, na mocy pozorów, na mocy faktów wreszcie, których dostarczały głośno



miłości jego. Wykluczano go zewsząd, jak Paryasa. Imię jego wymawiano z cnotliwą zgrozą, lub téż nie wymawiano go wcale. Niejednokrotnie w paryzkich i włoskich salonach rodziny angielskie wychodziły z ostentacyjnym przerażeniem, gdy anonowano Byrona.

Te wszystkie prześladowania doprowadziły go do ostateczności: wziął sobie za cel deptać jawnie wszystko, co czczono w jego ojczyźnie. Ojczyzna ta reprezentowała w jego oczach prawo brutalnej przemocy; ubóstwienie hipokryzy i formuł, które zawsze oburzały go do głębi serca, przeciw którym walczył, których zwycięstwo spowodowało jego zwątpienie i rozterkę ze społeczeństwem—sprawiły ten dziwny zaiste fenomen, że chociaż zły syn, zły ojciec, zły mąż i zły obywatel, był jednak rzeczywiście najszlachetniejszym z ludzi.

Mniej szlachetny byłby z pewnością mniej cierpiał, i mniej przewinił. Bywają fatalne chwile, w których dobre strony człowieka są mu szkodliwsze od złych. Wśród braku moralnych podstaw, im kto więcej przerasta ogół, tém staje się niebezpieczniejszym dla siebie i drugich, bo nie jest w stanie zadowolić się tém, co starczy ogółowi.

Bohaterowie Byrona, wszyscy bez wyjątku, są jego odbiciem, jego życie jest kluczem ich uczuć i myśli. Każda z wielkich trapiących go idei znajduje pomiędzy nimi swoich przedstawicieli.

Kiedy Jafet buntuje się przeciw Bogu, który chce zniszczyć potopem ziemię, kiedy Kain nie chce składać dziękczynnej ofiary Temu, co wygnał z raju rodziców i jego uczynił pastwą śmierci za ich winę—doznajemy uczucia Byrona, niemogącego poddać się ludzkiej doli. Kiedy Manfred,

nie poprzestając na ludziach, gardzi nieśmiertelnymi duchami; kiedy nawet dla ujrzenia namiętnie upragnionego cienia ukochanej nie chce nikomu przysiąc posłuszeństwa; kiedy odtrąca szatana, co czyha na jego duszę, wołając: „Tyś mnie nie mógł skusić. Nie oszukałeś mnie, nie jestem twoją ofiarą. Sam byłem własnym niszczycielem i będę nim na wieki.“—są to dumne pojęcia poety, ubrane w szatę dramatu. Ale w postaciach tych znajdujemy tylko fragmenta jego istoty, strony jej rozmaite, łamiące się jak wzdrugotaném zwierciadle. Byron sam najdokładniej maluje się w Korsarzu; tam to otwiera nam swoją duszę na oścież, jak gdyby, pomimo nieugiętej dumy, czuł potrzebę usprawiedliwienia:

„Lecz nie natura stworzyła w Konradzie
Srogiego wodza zbójeckiej gromadzie.
Zmienił on duszę wprzód, niż czyni swemi
Wyparł się nieba, wojnę wydał ziemi.
Zmłodu pan siebie, więzów świata jeniec,
Mędrzec w swych słowach, lecz w czynach szale-
(niec;
By drżać — zbyt mocny, by uleźć — zbyt hardy.
Zamiast nawzajem wzgardzić zgrają podłą,
On przeklął cnotę, jak swych cierpień źródło,
Z urągawiskiem wbrew stając obłudzie;
Choć znał, zapomniał że są lepsi ludzie,
Dla których lepiej darów swych używszy,
Znalazłaby szczęście i stał się cnotliwszy.
Lżony, gardzony, bez zgryzot nawzajem,
Serce swe z ludzkim rozbratał rodzajem,
I obrał sobie za cel swój na ziemi
Za winy kilku mścić się nad wszystkiemi.
Czuł się występny — lecz dumny, rozumiał
Że nikt nie lepszy, choć nim zdać się umiał,

I gardził dobrym, jak tym co w obawie
 Czyni to skrycie, co inny na jawie.
 Nienawidzony, wiedział że u ludzi
 Nienawiść jego strach i zgrozę budzi:
 Przeszawał na tém dziki, zimny, hardy,
 Nie dbał o miłość, jak nie dbał o wzgardy.
 Stronić, drżać przed nim, potępić go, skarżyć,
 Kląć może każdy, lecz nie lekceważyć“ (1).

Jest-to cała moralna historia Byrona, najlepszy dowód identyczności autora z postaciami jakie tworzył. Postacie te mają wszystkie właściwości jego natury, wierzą w co on wierzył, kochał i nienawidził, i postępują tak, jakby w danym razie Byron postąpił. W postaciach tych więc szukać należy nietylko namiętności i zwątpienia jego, ale nadto i etycznych pojęć.

Jak łatwo się domyśleć, pod tym względem panuje najzupełniejszy chaos, chociaż niebrak nigdy podniosłości, będącej wybitną cechą angielskiego lorda. Znajdziemy tam zawsze rysy idealnej szlachetności na nadzwyczajne wypadki, ale nie znajdziemy nigdy owój powszedniej cnoty, bez której jednak nikt obchodzić się nie powinien i nie może.

Postacie Byrona, zarówno jak ich twórca, traktują cnotę i zbrodnię subiektywnie, czyniąc je zupełnie zależnemi od wrażenia chwili i panującej namiętności.

„Ty byłaś cnotą, ty zbrodniami memi“ — mówi Giaur o kochance w spowiedzi swojej. Podobny ustęp znajdujemy w Korsarzu, gdy autor opisuje swego bohatera i miłość jego dla Medory:

(1). Tłumaczenie A. E. Odyńca.

„On kochał
 Występca, zbrodzeń, z każdej cnoty zboczył,
 Przeciw tój jednej nigdy nie wykroczył:
 Ona, gdy wszystkie zgasły po kolei,
 Świeci mu jeszcze, jak gwiazda nadziei.“

Miłość zawsze podniesioną jest do godności cnoty. Cnotą Konrada była miłość dla Medory, cnotą Hugona miłość dla Parasiny. Cnotą Gulnary jest ocalenie korsarza; dla niego podwakroć staje się zbójczynią, i to nie tracąc wdzięku nieśmiałości, rzechy można, niewinności swojej. Ten dziwny fenomen poetyczny (niewiadomo czy możebny w naturze) tłumaczy się ową Byronowską etyką.

Gulnara tak dalece czuje się w prawie zabić wroga Konrada i przez to ocalić mu życie, iż nie ma nawet pojęcia wyrzutu żadnego, co najwięcej, na zabójstwo oburzają się jój nerwy. Zład zabójstwo to zostawia ją czystą.

Bohaterowie Byrona, jak on sam, zrodzili się do cnoty, i jak on też, pomimo spełnionych win, nie tracą cnotliwych popędów, możnaby powiedzieć prawie że cnotliwymi być nie przestają. Jeśli grzeszą i upadają, winien temu świat ten, ludzie, fatalizm, okoliczności, wreszcie szlachetność ich sama.

Krwiożerczy korsarz nie chce okupić życia i wolności zabiciem śmiertelnego wroga w sposób zdradziecki. Wśród pożaru zdobytego miasta, zapomina o własném bezpieczeństwie, ażeby uratować branki baszy z palącego się budynku.

Uczucia te pokazują, do jak wysokich pojęć moralnych zdolnym był Byron, do jakich posuwał je subtelności. Cóż, kiedy były-to tylko po-

rywy, mogące zachwycić, ale niezdolne kierować życiem. Poeta unosi nas na szczyty, lub wtrąca w otchłanie. Jesteśmy zawsze z nim w ostatecznościach, nigdy na ziemi, bo, jak to widzieliśmy, ziemia i jej warunki stały się nieznośnemi dla owój epoki: uciekano z niej w poetyczne strefy, uciekano nawet do zagrobowych krain.

W Byronie śledzić można rozkładowe czynniki wieku, działające na naturę burzliwą, namiętą i bez hamulca żadnego. Teraz zobaczymy, jak się one odbiły w naturze delikatnej, abstrakcyjnej i panującej nad sobą.

Jak to widzieliśmy, Byrona nie chroniły od zropaczenia wszystkie dary natury i losu. Przykład Leopardi'ego pokazuje, że nie chroniło również życie nieskazitelne, oddane obowi zkom i pracy.

Leopardi był myślicielem i poetą; surowe postępowanie jego uważać można za istną antytezę szaleństw Byrona. Jest to jedna z najpiękniejszych i najoryginalniejszych postaci Włoch nowożytnych.

Był on wymownym dowodem, że na pewnym stopniu umysłowej potęgi jednakie przyczyny działają jednako na najrozmaitsze usposobienia i że ani rozkoszny klimat Italii, ani żywotność rasy, ani żadne poboczne względy nie są zdolne zniweczyć głęboko działających moralnych wpływów chwili. Dotąd wszyscy koryfeusze nowój epoki literatury, rzucając światu pogardę i klątwy, wyjmowali cóskolwiek z powszechnego potępienia. Werther, Ortis wierzyli w jedno przynajmniej serce kobiece. Nawet obok każdego z tych dumnych bohaterów, których geniusz Byrona ubierał w szaty królewskie, jaśniała gwiazda nieskalanej miłości. Obok korsarza, widzimy Me-

dorę, obok Lary Kaleda, obok Giaura Leilę, obok Selima Zulejkę. Nawet Manfred, najbardziej ponura kreacja Byrona, nawet Manfred żyje wspomnieniem umarłej kochanki, wywołuje jej ducha z namiętnem utęsknieniem.

Leopardi jest od nich radykalniejszym w wywodach myśli; zwątpienie u niego ogarnia wszystko, dotyka wszystkich moralnych procesów, a kiedy pisze: „Utraciłem nietylko nadzieję, ale nawet pragnienie nadziei. Nic nie jest godne uderzeń ludzkiego serca“—słowa te nie są bynajmniej czczym frazesem: są one logicznym wynikiem wszechstronnego zwątpienia. Na szczęście swoje jednak, człowiek rzadko posiada podobną konsekwentność, i to tłumaczy wiele bardzo zawiłych działań i zdan ludzkich. Przeciwno konsekwentności myśli często bardzo buntuje się serce, a gdy i serce jest z nią w zgodzie, protestują żywotne siły. Ztąd w najbardziej ponurych przedstawicielach rozpaczki znajdujemy jeszcze jakieś przebłyski życia, jakieś chwile, w których człowiek zapomina o gniołącym go ciężarze.

W Leopardi'm złączyło się wszystko, ażeby doprowadzić zrozpaczenie do ostatecznych wyników i nie dać mu podobnej chwili. Myśl jego posiadała nieubłaganą logikę i nie była w stanie odrywać się od dręczących ją problemów; życie, pozbawione wszelkiej słodyczy, upływało w beczynności w małej mieścinie Recanati, pod surowym despotyzmem ojca, a fizyczna istota, wątpa i słaba, ugięła się pod nadmiarem władz umysłowych.

Leopardi stosował do poezji metodę filozoficzną, a geniusz poetyczny jego, sprostawszy siłą się myśliciela. Postawiwszy więc sobie raz tę rozpaczliwą zasadę, że nic nie jest godne uderzeń

serca, pozostał jój wiernym niezmiennie i z tego punktu zapatrywał się na życie i na objawy własnego ducha.

Cierpiał więc jako poeta, bo uczucia jego rozmięły się z rzeczywistością; cierpiał jako myśliciel, który, zagłębiając się w otchłanie spekulacji filozoficznych, nie mógł wysnuć z nich żadnego syntetycznego pewnika; cierpiał jako Włoch; cierpiał wreszcie jako człowiek, któremu los i okoliczności wrogami były.

Wszystko więc co go otaczało, zarówno jak to co w nim było, złożyło się, ażeby wyrobić najbardziej czarne poglądy i utworzyć niejako arcytyp zrozpaczenia. Dysharmonia z otaczającym światem nie pobudzała go do przeciwdziałania, tak jak Byrona, ale, przeciwnie, wprawiała w rodzaj osłupienia: był zanadto głęboko przekonany o bezskuteczności szarpania się z losem. Żywotność tego ducha oburzała się całą siłą przeciw myśli zniszczenia; inną wiary w siebie wyrobić nie mógł, a nie pragnął upoić się, tak jak Byron, szalonym czynem lub marzeniem czynu.

„Jestem ogłuszony nicością, jaka mię otacza — pisze do swego przyjaciela Giordana. — Gdybym w tej chwili dostał pomieszania zmysłów, zdaje mi się iż waryacją moją byłoby usiąść z osłupiałym wrokiem, z otwartymi ustami, z rękoma opuszczonemi bez uśmiechu, bez skargi, zdolny poruszyć się jedynie zapomocą cudzej siły.

„Nie mogę zdobyć się na żadne pragnienie, nawet na pragnienie śmierci. Nie dlatego żebym się jój lękał, ale że nie widzę różnicy pomiędzy mi ercią, a mojem obecnem życiem... Jestem tak przerażony znikomością wszystkiego, przeznaczeniem człowieka i śmiercią wszystkich namięt-

ności we mnie samym, iż zdaje mi się że jestem w obłądzeniu, bo uważam nawet rozpacz moją, jako rzecz znikomą.“

Do wyrobienia tego nadmiaru bólu przyłożył się zapewne i stan fizyczny Leopardi'ego. Ułomny i wątły z natury, dotknięty został, wskutek nadmiaru pracy umysłowej, nieuleczalną chorobą, która po kilkoletnich cierpieniach doprowadziła go do przedwczesnego grobu. Nie należał on do tych ludzi, co umieją się ludzić, i jak zdołał postawić dyagnozę swego moralnego stanu, tak zrozumiał i stan fizyczny. To też trzeba widzieć, z jaką goryczą wspomina dni pierwszjej młodości:

„Och! ileż razy — pisze w wierszu zatytułowanym: Wspomnienie — to moje życie bolesne i puste z radością na śmierć byłbym zamienił.“ Z jaką boleścią odzywa się o Recanati, swoim rodzinnym gnieździe:

„Ten dom, gdzie marną młodość moją i samego siebie zostawiłem część najlepszą.“

Być może iż tę niechęć do rodzinnego miejsca wyrobiło w nim szersze pojęcie ojczyzny. To pewna, że na pół wieku przed zjednoczeniem Włoch, kiedy patryotyzm prowincjonalny kwitnął w najlepsze, a najśmielsze umysły nie mogły przewidywać tego, co się później stało, wołał:

„Nie mówcie mi o Recanati, mówcie mi o Włoszech; ojczyzną moją są Włochy.“

W tym duchu napisał on owę Canzonę do Włoch, w której znać zarówno wielkiego miłośnika kraju i wielkiego poetę, a która do dzisiaj jest najpopularniejszą z jego arcydzieł.

Ale jak wszystkie inne, tak i obywatelskie uczucia Leopardi'ego były ranione bezustannie; świat nie szedł w takt jego wysokich aspiracyj,

a Włochy, według słów jednego ze sławnych dyplomatów ówczesnych, Włochy były tylko wyrażeniem geograficznem.

Jak mocno bolał nad tém poeta, dowodzi wiersz napisany na zaślubiny siostry, w którym znajdujemy ten ustęp:

„Siostró moja! w złych i żalobnych czasach tworzyć będziesz rodzinę wśród Włoch nieszczęśliwych. Uzbrój się przykładami mężstwa. Cnocie los szczęścia zaprzecza: będziesz miała synów podłych, lub nieszczęśliwych. Miej raczej nieszczęśliwych!“

Upośledzony fizycznie, nekany chorobą, oddany na pastwę surowych rozmyślań, głębokich studyów i ponurych przeczuć, Leopardi miał przytém cześć starożytną, cześć pogańską niemal dla wszystkiego, co piękne. Natura posiadała dla niego nieskończone uroki, wdzięk kobiety wprawiał go w zachwyt. Kochał kilka razy z namiętną siłą—zawsze nieszczęśliwie. To dopełniło miary jego rozpacz.

Więc też woła:

„Kobięta uczuć, jakie wzbudza, ani podzielić w równej mierze, ani nawet pojąć nie jest wstanie. Majestatowi jęj czoła umysł nie odpowiada. Niesłusznie żądalibyśmy uczuć równych naszym od istoty, która we wszystkiem niższą jest od męczyzny.“

Ta niewiara w miłość, jest-to ton zupełnie nowy w literaturze obecnej, ton odzywający się od tęg pory ze stron wszystkich.

Kobięta za innymi bóstwami straconą jest z piedestału na którym królowała, a na którym utrzymali ją Werther, Ortis i Byron nawet, choć tak srodze dotknięty przez własną żonę. Jest-to tylko dalszy ciąg pojęć, dalsza robota

zwątpienia, rozszerzającego swój zakres. Odtąd najtkliwsza miłość łączy się zwykle z szyderstwem i lekceważeniem; mamy tego przykłady w Heinem, w Mussecie.

Poeta włoski, naksztalt spiorunowanego Tytana, wyzywa ból, pod którym łamie się, ale nie upada, wyzywa najwyższą potęgę, którą o swoje męki oskarża. Posiada on tę rezygnacją rozpaczy, co niczego się nie lęka i niczego się nie spodziewa, ani tu na ziemi, ani za grobem. On gardzi miłosierdziem, on gardzi nadzieją.

Pogarda jego tyczy się faktów, nie ludzi, dla których czuje raczej litość, jako dla współcierpiących. Na ziemi mało co jest godne tak westchnień jego, jak i nienawiści—nienawiść ta sięga wyżej nierównie.

Byron nienawdził człowieka, Werther, Obermann, Ortis społeczeństwa, Musset żżyma się na przenievierstwo natury ludzkiej, Heine na jej głupotę, a Leopardi, radykalniejszy od nich wszystkich, podnosi głos bluźnierczy.

Dusza jego posiadała tę szczególną własność, że jakikolwiek podchwycony dźwięk radosny budził w niej odpowiedni dźwięk bólu. Tym sposobem otrzymywał harmonią tém bardziej ponurą, im silniejsze było wrażenie wesela. Miłość budziła w nim zaraz myśl o śmierci.

„Dwie tylko rzeczy piękne świat posiada—mówi w poezjach jego konający Consalvo—miłość i śmierć.“

W inném znów miejscu, łącząc te dwie idee, powtarza:

„Wszelką próżną nadzieję, lub szaloną pociechę, któremi świat ludzi się jak dziecię, odrzucam precz od siebie. Nigdy i nigdzie niczego się nie spodziewam, prócz ciebie jednej, o śmier-

ci! Czekam spokojny dnia tego, gdy wreszcie złożę głowę uszpioną na twojem łonie dziewiczym."

Leopardi był niezaprzeczenie najbardziej zrozpaczonym pomiędzy zrozpaczonymi; poezya jego dochodziła do abstrakcyjnych sfer; krok dalej, a doszłyby tam, gdzie upada i niknie wszelka działalność, wszelka inicjatywa. Wówczas zrozpaczenie wychodziłoby już po za sferę literacką, której właściwem źródłem jest walka człowieka z okolicznościami, z własnym losem lub namiętnością. Gdzie walki téj niéma, żywioł poetyczny istnieć nie może.

Leopardi stoi na téj granicy, po za którą analiza rozpaczy byłaby niemożliwą, bo nie wcieliłaby się w kształt żaden, i dlatego, pomimo wybitności swojej, przedstawia on tylko jednostronne pole obserwacji. Doskonalsza jeszcze konsekwentność zwątpienia doprowadziłaby koniecznie do indyjskiego stanu Nirwany.

Leopardi więc stanowi jakby punkt kulminacyjny tego kierunku. On i Byron stworzyli niejako epopę zrozpaczenia, która następnie w Heinem, w Mussecie i w nieskończonej plejadzie ich naśladowców rozkruszyła się na liryczne fragmenta.

Nad tym drugim okresem choroby wieku, nad jój obecnymi objawami, zastanowię się w drugiej części téj pracy, jak również nad charakterystyką naszych poetów, którzy przedstawiają w tym kierunku tak uderzającą sprzeczność z całą literaturą Zachodu.

II.

Pierwsi koryfeusze zrozczenia, Byron, Leopardi, Werther, Ortis, Rene, Oberman, przemawiali ze smutną powagą; zwątpienie było wtedy na świecie wielką nowością. Wkrótce jednak ton mistrzów, parafrazowany przez ich duchowe potomstwo, a nieraz parodyowany przez ludzi którzy myśleli, że ażeby stać się Byronem, dosyć pożyczyc od niego piór czarnych, wydał się jednotonnym. Nowe pokolenie nie zdobyło się już na energią przekleństwa, ale natomiast wybuchnęło krwawym śmiechem nad własną dolą, a szczególnie nad próżnością skarg i przekleństw, nad pragnieniami przenoszącymi miarę sił.

Jeden z mistrzów ironii, Henryk Heine, wyśmiewa w ten sposób próżne żądze ludzkie:

„Szalone stworzenie! twe ramię krótkie, a niebo daleko, a gwiazdy wysoko, mocno przytwierdzone. Daremne pragnienie, westchnienia daremne! Ot lepiejbyś zrobił, gdybyś spał spokojnie.“

Sen spokojny, zapomnienie próznych marzeń, używanie wreszcie, oto wszystko co człowiekowi zostawiono. Miłość mogłaby być wprawdzie źródłem wzruszeń szlachetnych, ale, niestety! czasy Medory, Leily, Zulejki i owych cudnych towarzyszek potępieńców świata minęły; pokolenie, którego przedstawicielami są Heine i Musset, zbankrutowało na miłości, jak na wszystkich innych uczuciach.

Nie ma ono dla kobiety dogmatycznej pogardy Leopardi'ego, boć dogmatycznego niema w niem nie wcale; jest-to raczej gryzący żal, że miłość nie odpowiada temu, czego od niej żądają.

W harmonijnym rozwoju człowieka, miłość przedstawia ton wybitny, łączy się w doskonałym akordzie z innymi tonami. Ale miłość sama za wszystko inne starczyć nie może. Pojmował to Byron doskonale, bo chociaż czynił bohaterów swoich szczęśliwymi kochankami, niemniej malował ich osłoniętych kirem wiekuistej załoby.

Pokolenie więc, które żądało od miłości, aby zapelniła życie całe i zajęła miejsce wszystkich czynników w jakie wierzyć przestało, nadało jej tym samym stanowisko, na którym utrzymać się nie mogła.

Daremnie usiłowano podnieść jej znaczenie. Wśród namiętnie tęsknych pieśni Heinego drgają panteistyczne poczucia, w których odbija się kierunek szkół i doktryn filozoficznych. Wśród zaklęć, łez i pocałunków kochanków, smukłe palmy szła westchnienia do jodeł północnych, lotusy drżą i otwierają kielichy swoje promieniom księżycy, gwiazdy stają się oczyma ukochanej i spoglądają tajemniczo z niebieskiego stropu.

Zdaje się, jak gdyby poeta, nie rozumiejąc sam

niedostateczności uczucia, od którego oczekiwano zbyt wiele, chciał rozszerzyć jego zakres; cały wszechświat niem ogarnąć i uczynić je współczynnikiem miłości, by samego siebie złudzić co do jej znaczenia.

Ale napróżno zwątpienie weiska mu się do serca; natura, zarówno jak serce ludzkie, pełna jest zdrady; lotus przeniewierza się księżycowi; kwiaty są w zмовie ze zradnemi psotnicami; ptaszki je uniewinniają, a natura wiecznym uśmiechem i pogodą swoją zdaje się urągać cierpieniom człowieka. Nie pozostaje mu jak śmiać się z własnego szaleństwa, profanować to co wielbił i samemu sobie bryzgnąć w oczy szyderstwem.

Tak czyni Heine. Opiewa on w cudnych strofach miłość swoją, znajduje na jej oddanie nieporównane obrazy, słowa dobyte z głębi duszy, dźwięki ciszące łzy do oczów. Więc drgające niepokojem serce poety znalazło wreszcie ubłogosławienie szczęścia, więc odpocznie ono na łonie miękkich uczuć, które tak głęboko pojmuje. Wraz z Heinem spoglądamy na fijołkowe oczy jego kochanki, widzimy łzy miłości i zachwyty z nich płynące. Aż wreszcie, gdy uczucie doprowadzone jest do najwyższej potęgi, gdy gotowiliśmy wierzyć, że naprzekór wszystkim rozpaczliwym doktrynom, istnieje szczęście, istnieje miłość, istnieje wiara, poeta w ostatnim wierszu swego hymnu zachwyty jednem słowem rozwiewa urok cały. Dowiadujemy się że gdyby ukochana jego miała serce, napisałby na cześć jego sonet najpiękniejszy; że woli pocałunek niż przysięgę, bo przysiędze kobiecej dowierzać nie można. Lub też opowiada, jak położywszy głowę na piersi kochanki, podsłuchał bicia jej serca,

a serce to było gwałtownie i mówiło... o niebieskich huzarach, którzy tak pięknym szeregiem wjeżdżali do miasta i nie tylko w niem, ale i w sercu jej zajęli kwatery.

Czémże więc jest miłość jego? Marzeniem, którego sam zna znikomość, którym jednak pragnąłby się upoić, którym upaja się rzeczywiście na przelotną chwilę.

Wątpi o kochance, wątpi sam o sobie, wątpi o saméjże miłości—a jednak, pomimo to, kocha. Na prawdzie akcentu jego omylić się niepodobna, bo, jak sam mówi z cyniczném szyderstwem: „wszystko tutaj pogrążone jest w chaosie. Pan Bóg umarł w niebiosach, szatan w piekle, więc gdyby nie ta trocha miłości, cóż możnaby robić na świecie?“

Musset nie może przyjąć losu swego bez szemrania, nie może zgodzić się ani z brakiem miłości, ani z brakiem wiary. Jest-to myśl jego nieodstępna, historia życia; jest-to nic przewodnia wszystkich prawie dzieł jego. Wypowiada ją wszędzie potrosze, ale najdosadniej, najobszérniej w jednym z najpyszniejszych utworów dzisiejszój poezji, we wstępie do Rolli.

Musset opisuje najprzód pierwotną epokę młodego świata, a potem, przechodząc do pierwszych chwil chrześcijaństwa, pyta:

„Czyż nie żal wam tych czasów, gdy pod émy
 [nawałem,
 Wykwitł wiek płodny w dzielność, krasniejący
 [złotem,
 Gdy świat stary, jak Łazarz, czołem odmłodnia-
 [łem
 Podważył głaz grobowy, który pękł z łoskotem?

„To co Tyś zdziałał niegdys, któż dziś zdziała,
 [Chryste?
 Nas, zgrzybiałców zrodzonych wczora, kto od-
 [młodzi?“

W tém gwałtowném pragnieniu wiary leży radykalna różnica pomiędzy francuzkim a niemieckim poetą, choć panuje ogólne mniemanie, że byli oni do siebie bardzo zbliżeni. Tam gdzie Musset rozpacza nad stratą zasadniczych motorów istnienia, Heine znajduje tylko akcenta pełne sceptycyzmu. Tam gdzie Musset woła gwałtownie: „Któż z nas, o ludzie, Bogiem się dziś stanie?“ Heine mówi: „Pan Bóg umarł w niebiosach, a szatan w piekle“—i fakt ten przyjmuje z szyderczym spokojem i wysnuwa zeń wniosek godny nowożytnego epikurejczyka, który utraciwszy nieśmiertelne skarby istnienia, pociesza się jak może drobną monetą szczęścia, a jeśli cierpi pomimo to (boć cierpienie widne jest w jego poezyach), śmieje się sam z siebie. I tak sztucznie łączy uśmiech ze łzą, jakby jedno bez drugiego istnieć nie mogło.

Musset, przeciwnie, ani na chwilę zrezygnować się nie może.

Jest on podobny do człowieka skazanego na śmierć, który chociaż usiłuje się ogłuszyć, jednak ani na jedną minutę o wiszącym nad sobą wyroku zapomnieć nie może, pamięta o nim nawet przez sen.

W komedjach i przysłowiaich swoich czasem wśród najbardziej obojętnej rozmowy kładzie w usta którejbądź z figur dramatycznych frazes, zwrócony do téj nieustającej umysłowej troski.

„Wieczność jest podobna do olbrzymiego gniazda—mówi ni ztąd ni zowąd Spark do Fan-

tazya—z kąd wieki, niby młode orłeta, wyfrunęły jeden po drugim, ażeby przesybować przez niebo i zniknąć. Nasz także, gdy jego kolej nadeszła, przyszedł nad brzeg gniazda; ale obcięto mu skrzydła i teraz czekać musi śmierci, spoglądając w przestrzeń, w którą rzucić się nie może.“ Jest to ta sama myśl, którą wypowiada we wstępie do Rolli.

Przykładów podobnych możnaby naliczyć niezmierną ilość. Autor posługuje się dla wypowiedzenia podobnych rzeczy pierwszym lepszym bohaterem, jakiego ma pod ręką. Ten Spark na przykład nie jest to żaden myśliciel, ani żadna z figur ulubionych przez autora, w które wciela się po kolei: to poprostu towarzysz rozpusty Fantazya.

Słowa te byłyby właściwsze w ustach Fantazego, ale autor nie uważał na podobne błahostki; chodziło mu daleko więcej o wypowiedzenie myśli swoich, niż o konsekwentność dramatycznych postaci, lub o to kto je wypowie: Lorenzaccio, Fantazyo, Perdican, Andrea del Sarto, Oktawiusz w kapryсах Maryanny, wszyscy w danej chwili mówią jednym językiem, wypowiadają to, co ich twórcy leżało na sercu.

Ten zgrzybialec, zrodzony wczoraj, jak sam się nazwał—posiadał wyobraźnię poety, zmysły południowca, pragnienia marzyciela, nerwy kobiety, a zwątpienie starca. Rzucił się w życie z bezpamiętném szaleństwem. I rzecz prosta, życie go zawiodło.

„Jeśli chcesz pracować dla ludzkości—mówi przez usta Lorenzaccia do starego marzyciela, jakim przedstawia Filipa Strozzi—radzę ci utnij sobie ręce, bo przekonasz się wkrótce, że ty jeden je posiadasz.“

„Nie sądź bym pogardzał ludźmi—ludzie są rozmaici, bywają pomiędzy nimi i dobrzy. Ale na cóż się oni przydadzą? Co robią? Czém się odznaczają? Na cóż się zda sumienie, kiedy ręka jest beczynna? Zresztą wszystko zależy od punktu patrzenia. Pies jest wierny; można w nim widzieć najlepszego przyjaciela, ale można także powiedzieć, że żywi się tylko trupami.“

Jednakie premisa w najrozmaitszych indywidualnościach prowadzi do tych samych wyników. Tak samo Byron mówi przez usta Manfreda, że spotkał się z dobrem nawet pomiędzy ludźmi.

Pomiędzy Byronem jednak a Mussetem zachodzi ta kardynalna różnica, że pierwszy, gardząc ludźmi, samego siebie wyjmował z pod ogólnej klątwy, stwarzając sobie wyjątkowe przestępstwa, gdy przeciwnie, drugi potępia się narówni ze wszystkimi, ni mniej, ni więcej.

Świat nudzi go jednostajnością swoją, nie dlatego by rzeczywiście był jednostajnym, tylko że, jak sam trafnie powiedział, wszystko zależy od punktu patrzenia, a on dostrzega w nim jednostajność i nudę, która była udziałem jego bezpożytecznego, próżnego życia.

„Patrzcie na to stare, zadymione miasto—mówi Fantazyo.—Niema w niém placu, ulicy, zaułka, gdziebym tysiąc razy nie przechodził. Niema kamienia, którego bym nie deptał, ni domu którego bym nie znał mieszkańców i nie wiedział w jakim oknie jaka pokaże się głowa bezmyślna. Nie mogę stąpić tutaj bez stąpienia w moje wczorajsze ślady. Otóż to miasto niczém jest w porównaniu z moją własną mózgowicą; wszystkie jej zakątki, wszystkie dziury wyobraźni są mi jeszcze stokroć więcej znane. Spacerowałem na

wszystkie strony w tój rozklekotanej mózgownicy, ja, jój jedyny mieszkaniec. Upijałem się w szynkowniach, tarzałem się po niej jak król samowładny, przebiegałem ją w złocistej kolasie, łąziłem po niej jak spokojny wędrowiec — a teraz nie śmiem tam nawet zaglądać jak złodziej, z głuchą latarką w ręku.“

Tu już znudzenie jego staje się chorobliwe i jak zdenerwowanej kobiécie, wszystko mu wadzi; zżyma się na najprostsze warunki czasu i przestrzeni.

„Ach, cóż to za nikczemne stworzenie ten człowiek! Nie módz nawet oknem wyskoczyć, bez połamania sobie członków.“

Jednak, jakkolwiek świat ten jest nudny i nieznośny, Musset zeń nie widzi żadnego sposobu ucieczki.

„Zostawcie nam — woła w Rolli — najmniejszą nadzieję, że śmierć prowadzi do jakiej przyszłości, a choćby miejsce to było najokropniejszém, lękać się jój nie będę, powitam ją jako narzeczoną.“

Sam dokładnie zna czego mu brakuje, wie nawet dobrze gdzie leży lekarstwo na wszystkie bóle i cierpienia, ale wie zarazem, że użyć tego lekarstwa nie jest w jego mocy.

„Dajcie mi jaką ideę przewodnią, ideę życia — mówi przez usta Fantazya. — Człowiek zatopiony w idei swojej, to nurek pod dzwonem, bezpieczny wśród bezbrzeżnego oceanu.“

Idei podobnej nie wytwarza się na zawołanie. Chwałą Musseta było to właśnie, że jój poządał.

Jak wymownie zazdrości on mnichom średniowiecznym, pochylonym we włosienicach pokutnych, wśród naw gotyckich, w zachwytach nad-

ziemskich; zazdrości każdemu, komu pozostała choć jedna iskra ducha, niezgaszona zwątpieniem wieku, zazdrości nawet Brutusowi samobójcy, bo on, utraciwszy wszystko na ziemi, nic przynajmniej po za nią nie utracił i umierając, mógł składać ofiarę bogom piekielnym.

Jest-to najsilniejsze piętno Musseta, odróżniająca go stanowczo od wszystkich innych zrozpaczonych. Samowiedza moralnego stanu, z którego nie mógł wyłamać się ani na chwilę, była genozą najważniejszego, chociaż nie najlepszego z jego utworów: „Spowiedzi dziecięcia wieku.“

Tem czém był Werther niegdys dla dziadów naszych, tém stał się dla bliższej nas epoki Oktawiusz, bohater Spowiedzi.

Ma się rozumieć nie myślę tu wchodzić bynajmniej w literacką ocenę tej książki, jak nie zajmowałam się tą stroną talentu autorów o których już wspominałam. Chodzi mi tylko o ich psychiczne znaczenie. Jako powieść, „Spowiedź dziecięcia wieku“ może być najrozmaiciiej sądzoną; jako wyraz pewnego moralnego stanu, jest-to jedno z najważniejszych dzieł nie tylko Musseta, ale wieku całego, jedno z dzieł do których zawsze przyszłość zwracać się będzie, chcąc zrozumieć myśli, uczucia, wrażenia i błędy, panujące w polowie dziewiętnastego wieku.

To też pokolenie całe poznało się w niem jednozgodnie. „Spowiedź dziecięcia wieku“ nie jest właściwie powieścią, jest-to wiwisekcyja, odbyta na sercu poety, w którym najsubtelniejsze patologiczne zmiany i symptomata opisane są przez biegłego fizyologa, i ma też wszystkie właściwości wiwisekcyi: drgania życia pochwycone na gorącym uczynku, zboczenia ukazujące przy czyny które je wywołały, fibry nerwowe, wypo-

wiadające pod skalpelem, co je obnaża, tajemnice swoich bólów.

Rzeczywiście serce poety było chorém, chorém nieuleczalnie, nie było wstanie ani kochać, ani wierzyć, choć pragnęło namiętnie miłości i wiary; poniewierało tém co czcilo, raniło to co ubóstwiała. Poeta, naksztalt szalonego, kąsał dobroczynną rękę, co niosła mu kojące balsamy, a cierpiąc podwójnie, bólem własnym i bólem zadany, nie zdołał zapanować nad sobą. Oto cały węzeł dramatyczny Spowiedzi.

Z pozoru Oktawiusz różnym jest bardzo od Werthera; gdy Werther kocha z największą czcią, cierpi i umiera z imieniem ukochanej na ustach, Oktawiusz, kochając niemniej gorąco równie szlachetną istotę, zadaje jej najwyszukańsze męczarnie. Przecież przyjrawszy się im bliżej, poznać łatwo że Werther, jak i Oktawiusz, zarówno jest dziecięciem swego wieku. Można nawet powiedzieć, że to jeden i ten sam człowiek, w dwóch stadyach jednéjże choroby. Tylko niewiara Werthera, trzymająca się abstrakcyjnej dziedziny, weszła w krew i życie Oktawiusza, przesiąknęła go całego i uczyniła zupełnie niezdolnym cokolwiek uszanować.

A jednak jeśli istniała kiedykolwiek kobieta godna szacunku, to jest nią Brygida, kochanka Oktawiusza; szanuje ją świat cały, a życie jej, przezroczyste jak kryształ, płynie cicho, oddane obowiązkom. Młoda, piękna, wolna, nie ma najmniejszego cienia zalotności. Ta kobieta, dobra i wykształcona, zdaje się stworzona, by dać szczęście człowiekowi którego ukochała, uspokoić burze jego serca i otoczyć go atmosferą nieprzystępną podejrzeniu żadnemu.

Brygida nietylko umie kochać, ale umie prze-

baczać także; ma dla nieszczęśliwego dziecięcia wieku miłość kochanki, połączoną z tkliwością matki. Ale Oktawiusz, jakkolwiek młody, pił już zatrute męty z kielicha życia i zdradzony raz, widzi zdradę wszędzie koło siebie, widzi ją w tej nawet czystej i poświęconej sobie istocie. Jest to rodzaj obłądu; człowiek ten mści się na niewinnych za złe doznane, choć sam w chwilach przytomnych nienawidzi podejrzeń swoich i czuje całą ogrom swęj niesprawiedliwości.

Powieść cała zasadza się na szarpaniu się wzajemnym dwojga serc, z których jedno, szalone, krwawi się ranami drugiemu zadaniem, a drugie, śmiertelnie smutne, wyczerpuje się w tej próżnej walce.

Oktawiusz przerzuca się z jednej ostateczności w drugą; zaledwie obraził, żebrze przebaczenia, zaledwie otrzymał je, obraża znowu. Dramat zamyka się ściśle pomiędzy dwojgiem tych ludzi i nie przedstawia innej sytuacji.

Daremnie Brygida sili się uleczyć to serce, które uleczonem być nie może. Miłosierdzie jej było niewyczerpane, ale miłość zwolna przemienia się w litość, aż przeczujemy dzień, w którym szalenie znajdzie serce kochanki obumarłe od razów, jakie mu zadawał.

Kochankowie rozłączają się, ale czy nadługo? Wszak rozstać się mieli tyle razy. Czy nazajutrz Oktawiusz wytrwa w swęj ofercie, czy nie pobiegnie szukać znów Brygidy? Za to żaden z czytelników zaręczyć nie może. Utwór ten nie ma końca, bo zakończyć go może jedynie śmierć jednego z kochanków. Jak Werther zrozpaczony wiecznie wracał do Karoliny, choć nie zapomniał ani na chwilę o tém co stało pomiędzy nimi, tak i Oktawiusz czyni to samo. Jeśli zaś śmierć Werthera

była logicznym następstwem jego położenia, to w stanie moralnym Oktawiusza samobójstwo byłoby anachronizmem. Opętany przez tajemniczego demona, który zatruwał mu słodycz ust ukochanej i wobec każdej jej przysięgi przywodził pamięci tysiąc innych przysięg fałszywych, prędkiejby zabił ją niż siebie; ale na czyn podobny zbrakło mu energii.

Zwątpienie jest wyczerpujące, wyradza niedołęztwo, pod jego wpływem namiętność nawet, wskutek bezsilności, podobną się staje do kaprysu. Ma on przytém niezrównaną nienawiść do wszystkich komunałów, jakimi mierność posługiwać się lubi, uderzając niemi, niby obuchem, w głowy wszystkich tych co ją przerastają.

Trzeba widzieć jak wyglądają pod piórem te jego wszystkie utarte, ostemplowane formuły, któremi ludzie posługiwać się zwykli.

W komedyach swoich wybiera na ich rzeczników figury niezrównanego komizmu, które właśnie wypowiadając je z namaszczeniem w najmniej stosownych chwilach, odbierają im tém samym zupełną moralną wartość.

Głębokie myśli, czyste uczucia, wszystko to wzamian jest udziałem wyłącznym szlachetnych szaleńców. Fantazyo gotów poświęcić życie dla księżniczki Elżbięty; Oktawiusz w kaprysiach Maryanny jest najtkliwszym przyjacielem Coelia. Musset znajdował, że w tym formalnym, porządnym, pozytywnym świecie niema miejsca dla ludzi przerastających ogół, że ludzie ci muszą się zwiechnąć, nie znajdując dla siebie właściwych kolei. Pisał on tym sposobem apolog własnego istnienia, to też niema kapryśniejszej natury i kapryśniejszego serca, nad serce Musseta. Położenie swoje

moralne skreślił w powiastce „Biały kos,” przedstawiając siebie jako anomalią i istotę wszędzie obcą, nawet we własnym gnieździe.

Jaką rolę odegrał w tym gnieździe, to zupełnie odrębne pytanie, na które odpowiedź niepodobną jest do sformułowania. Musset był tym, czém mógł być wśród swojego wieku i społeczeństwa.

Chociaż zrodzony w kraju i chwili niemającej ani uprzedzeń, ani ciasnoty pojęć, z któremi walczył Byron, był w ciągłym nieporozumieniu z otaczającym światem. Naprzemian wykwinął jak artysta, tkliwy jak kochanek ideału, lub brutalny jak rozpustnik, szukał napróżno we wszystkich mętach życia spokoju czy zapomnienia. Przerzucił się z jednej ostateczności w drugą, niszcząc bez pamięci godność własną, zdrowie fizyczne i równowagę moralną.

Żył szybko i krótko. Na nim kończy się niejako cykl wielkich przedstawicieli rozpaczenia. Nie dlatego, by powody które je wytworzyły istnieć przestały, ale że śmiech przeżył się, zarówno jak przekleństwo, że tak, jak to się działo z pojedynczym człowiekiem, w społeczeństwie po fazie szyderstwa, nastąpiła faza wyczerpania. Problemata, stojące niegdyś wyraźnie określone na drodze ludzkości, wikłały się z chwilą każdą, przedstawiały jej sfinksowe zagadki do rozwiązania, zagadki wcale innego znaczenia niż te, za które przecież w starożytnych Tebach pożerani byli nieświadomi, czy niedomyślni.

Gorzkie poczucie bezsilności własnej, niepodobienstwo wynalezienia harmonijnego rozwiązania na wszystkie sprzeczne interesy, dążności i

żądze, owo poczucie, które niegdyś odbijało się tylko w najwybitniejszych indywidualnościach, dzisiaj zeszło do mas, stało się chlebem powszednim ludzkości, przesiąknęło wszystkie stosunki, odbiło się na wszystkich warstwach i napiętnowało zwątpieniem niemal wszystkie objawy myśli.

Wobec podobnego nastroju poezya milknie. Nadawała się ona do gwałtownych tonów rozpaczny lub szyderstwa, ale nie do obojętnego sceptycyzmu, w którym pograżamy się coraz bardziej. Tu i owdzie odzywają się poetyczne głosy, ale głosy te najczęściej parafrazują tylko mistrzów. Najrozpaczliwsze poezye pani Ackerman nie dorównują Mussetowi, który to samo powiedział bez porównania dosadniej i wdzięczniej. Lenau, Meissner i cała plejada liryków niemieckich nigdy nie zdołała doścignąć Heinego.

Zato inne gałęzie literatury i wiedzy są wier-nym odbiciem głębokiego sceptycyzmu. W filozofii systemata Schopenhauera i Hartmana prowadzą do zupełnego unicestwienia człowieka, determinizm pozbawia go nawet ostatecznej pociechy: wolności woli. Jako wytwór najrozmaitszych sił, człowiek musi działać wedle wypadkowej tychże sił; cokolwiekby zrobił, niema w tém ani winy, ani zasługi.

Jakżeśmy daleko odbiegli od dumnych słów Manfreda, wynoszącego swoje ja ponad piekielne potęgi, depcącego ujarzmione duchy natury i wyzywającego do walki niemal Stwórcę samego.

Nietylko odebrano człowiekowi pośmiertną nadzieję, ale za życia pozbawiono go osobistości. Fizyka socyalna obrachowała przeciętną zbrodni, przestępstw, a nawet prostych omyłek, które pewna gromada ludzi popełniać musi.

W ekonomii społecznej, zamiast harmonii interesów, pozwalając zostawiać bieg swobodny naturalnym działaczom: konkurencyi, popytu i podaży, wedle teoryi szkoły Manchesterskiej, zamiast Bastiatowskiej harmonii, badacze społeczni, jak Lasalle, jak Marx, ukazują przeciwnie nieublagane prawa, wzmagające ubóstwo wobec koncentrującego się kapitału, a ukazując je, nie dopatrują na złe lekarstwa żadnego, jakby ludzkość skazaną była powoli, ale nieodwołalnie, na posuwanie się ku otchłani.

Rozpaczliwe wyniki abstrakcyjnych spekulacyj tłumaczą obecny zwrot do nauk przyrodniczych i matematycznych, bo pomijając nawet doraźne korzyści, jakie z nich wyciągnąć można, tu przynajmniej ma się do czynienia z faktami, ma się za podstawę grunt stały. Jest-to odpoczynek dla myśli znękanęj pytaniami bez odpowiedzi.

Powieść i dramat, które objęły bezdziedziczny spadek poezyi, stały się odbiciem panujących doktryn. W nie się ostatecznie wcieliła literatura wątpienia.

W powieściopisarzach, którzy mają odwagę zajrzeć do głębi problemów społecznych, widnieje ostateczny sceptycyzm. Balzac i jego następcy, Flaubert, Zola, badają istotę człowieka wobec wszystkich objawów życiowych i odkrywają w niej smutne tajniki. Analizują serce, nie owo konwencyjonalne serce, pokazywane przez szkołę poetyczną jako budzieli wielkich czynów i wielkich zbrodni, ale ów najbardziej skomplikowany z organów, pełen pozornych sprzeczności, a będący czystym wyrobem obecnego wieku. Zaiste, serce rozłożone piórem Zoli na chemiczne pierwiastki, zarówno w głębiach, jak na szczytach

społecznych, nie stanowi bynajmniej ponętego widoku.

Widziemy na szczytach zupełny brak moralnego zmysłu, spowodowany zwątpieniem o obowiązki i jakichbądź zasadach. Widziemy wyuzdanie zepsucia, głębokie przekonanie, że powodzenie uprawnia wszystko, i zarazem pragnienia niespokojne, niezdolne zadowolić się niczym i powodujące najbardziej wyrafinowane przestępstwa.

Jest to coś nakształt Neronowej lub Helio-gabalowej nudy, wytwarzającej potworność.

Jako przeciwstawienie, widziemy znów w głębiach społecznych materyalną i moralną nędzę, posuniętą do ostatecznych granic, widziemy do czego dojść musi człowiek, pozbawiony wykształcenia, wiary i wszelkiej moralnej dźwigni.

A jednak autor, który w tak obmierzłych kolorach widzi ludzkość, zdaje się nie doświadczać z tego powodu żadnego wrażenia; kładzie on palec na społecznych ranach i czyni to tak obiektywnie, jak gdyby analizował jakikolwiek objaw roślinny lub zwierzęcy. Patologia zaprzęta go więcej nierównie, niż fizjologia; zdrowy organizm mniej od chorobliwego zwraca uwagi, bo wszędzie spostrzega same moralne choroby i kaléc-twa, Nie opisuje on zdrowych indywidualności, bo może nie dostrzega ich wkoło siebie, bo zresztą uważa, iż w pewnych złych moralnych warunkach zdrowie jest rzeczą wyjątkową i zależy od większej lub mniejszej wytrzymałości organizmu na trujące wpływy.

Toż samo z innej strony, z mniej szerokiemi poglądami, dostrzega i Dumas syn. Dramata jego i powieści wszystkie skierowane są do społecznych celów; przedstawiają kolizye serdecz-

nych stosunków z ustawami społecznymi, z obyczajem przyjętym, i ztąd wpływające tragiczności.

Wprawdzie był to wiekiesty temat dla przedstawicieli ludzkiego serca; Dumas jednak zapatraje się na kwestyę tę z innego stanowiska, niż to dotąd miało miejsce. Wraz z wielu powieściopisarzami swego wieku, uważa ją za naturalny wynik prądów, wymagań i psychicznych pierwiastków, stanowiących obyczaje; tutaj upatruje on węzeł gordyjski położenia.

Węzła tego jednak rozplątać nie umie i dlatego wyznaje naprzemian najparadoksalniejsze zasady, usiłując je pogodzić z paradoksalniejszymi jeszcze teoryjami, które budziłyby śmiech, gdyby nie dotyczyły tak palących ran.

Są to wszystko wymowne symptomata choroby wieku, choroby tak powszechnej i rozsubtelnionej, iż szczegółowe jej badania mogłyby się przeciągnąć do nieskończoności.

W naszej literaturze zrozpaczenie odbiło się słabo bardzo.

Zadziwaczało tu i owdzie w niektórych pojedynczych talentach, nie wydało jednak tego ponurego koncertu, jaki odezwał się wyraźnie na zachodzie. I, rzecz godna zastanowienia gdy tam zrozpaczenie dotyczyło właśnie najwznioślejszych umysłów i najgorętszych serc, u nas, przeciwnie, było ono głównie udziałem średnich talentów i maluczkich indywidualności.

W wielkich poetach naszych jeśli spotykamy je nawet, to zawsze jako objaw przejściowy pewnej chwili, pewnej duchowej fazy, jako takie więc, nie mogło ono ani mieć, ani nabrać w naszym

społeczeństwie znaczenia, jakie mu nadały w innych krajach utwory mistrzów. Było ku temu wiele przyczyn. Wiara nasza bez porównania mniej zachwiała się w głębi serc pod wpływem filozofii osiemnastego wieku. Wpływy które na Zachodzie obaliły ją zupełnie, u nas tylko zmieniły jej formę, wyrobiły mistycyzm, lub rodzaj historycznej teozofii.

Duch tolerancyi, sprawiedliwości i poszanowania dla cudzych zasad, który odbił się tak jasno w naszych dziejach, zachował nas od wojen i prześladowań religijnych, nie było więc u nas głuchego fermentu reakcyjnych pierwiastków, co by ułatwiły burzycielską robotę, jak to miało miejsce we Francyi.

Idealy też nasze społeczne były zupełnie odmiennéj natury niż te, które tam tak smutne wydały owoce, a nie będąc nigdy zniszczone, nie straciły też barwy ideału.

Szlachetne dążenia nasze nie przetworzyły się nigdy w potworne fakta, a jeśli przetworzyły się kiedykolwiek, mogliśmy zawsze oskarżać o ten rezultat cudze winy, nie zaś sam ideał. To uchroniło nas od sceptycyzmu. Ztąd i zrozpaczenie nie miało u nas logicznój racyi bytu, a jeśli się przytrafiało, przybierało indywidualny albo też narodowy charakter; nie mogło więc być tak głębokie, jak na Zachodzie, bo nie ogarniało ludzkości całej. Zamiast absolutnych przyczyn, miało przyczyny względne, lokalne. Przeciwnie, możnaby powiedzieć, że w owéj chwili, kiedy świat cały hołdował samobójstwu, my ląknęliśmy życia i świadczyliśmy żywotność naszą na każdym polu.

Grono uczonych krzewiło oświatę. Sniadeccy, Kollątaje, Staszice wysoko nieśli sztandar wiedzy. Dzieje miały swoich głębokich badaczy, jak

Ossoliński, Niemcewicz, Bandtkie, Lelewel; Linde pisał sławny swój słownik; powstawała historia literatury. Brodziński, pierwszy estetyk polski, jak go nazwał jeden z krytyków, torował drogę wielkim poetom, którzy po nim nastąpili.

Taką była żywotność nasza umysłowa, a pierwiastki zwątpienia tak wstrętnemi okazały się naszej literaturze, iż nawet romantyzm, który w całej Europie był hasłem rozpacziwego kierunku, u nas zupełnie zmienił charakter. Romantycy nasi, przyjąwszy formę, ożywili ją inną treścią, lub też jeśli ulegli prądowi Zachodu, prędko wracali na samoistne drogi.

Dlatego-to zrozpaczenie ogarniało tylko natury słabe i podrzędne, a tém samém skłonne do naśladownictwa, niezdolne zaś uczuć owęj wielkiej miłości, dźwięczącej tak samoistnemi tonami w poezjach naszych mistrzów, która broniła ich skutecznie od zwątpienia.

Pomimo to, wszyscy niemal poeci nasi odczuwali chorobę wieku; mamy tego dowody w ich dziełach, tylko dla przyczyn, o których wspominałam, choroba ta miała zupełnie inne symptomata.

Współczesny Byronowi Malczeski niejednokrotnie w Maryi daje folgę gorzkim uczuciom, ale wciela je w figurę okolicznościowo tylko w poemat zaplątaną, w tajemnicze pacholę, które w bramie dworu miecznika spotyka maski, opowiada Wacławowi śmierć żony i uniesione przez niego na koniu, ginie bez wieści tak niespodzianie, jak i pojawiło się w poemacie.

Jest-to figura tak podrzędna, jak podrzędnym jest zrozpaczenie w naszym społeczeństwie; wchodzi ona poto jedynie do poematu, by wypowie-

dzieć to, co snadź leżało na sercu poety, a co byłoby anachronizmem w ustach innych jego bohaterów.

„Och nie—ja wszystkim obcy wśród mojej ojczy-

[zny,

I śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny,

I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze:

To mi ciężko na sercu i ja sobie płacze;

A kiedy się rozśmieję — to jak za pokutę,

A kiedy będę śpiewał — to na smutną nutę.“

Tego przecież, tak samo jak innych ponurych refleksyj pacholećcia, nie mogli wypowiedzieć ani namiętny, rycerski Waclaw, ani dumny wojewoda, ani pobożny miecznik, ani rozkochana Marya. Dlatego też, pomimo iż w Malczeskim znać Byroniczne prądy, Marya nie jest spokrewnioną z utworami zwątpienia, przeciwnie, pełno w niej rzeźkich sił natury, pełno młodego zapału.

Najpogodniejszy z naszych poetów, Mickiewicz, miał także swoje czarne chwile. Gustaw w Dziadach, w których p. Bełcikowski słusznie upatruje tak wielkie podobieństwo z Wertherem, jest to figura mocno Byroniczna; interesuje nas, jako obraz rzeczywistych cierpień poety, jako prawda uczucia jego, nie zaś jako żywotna kreacya. Pomimo swojskiego gruntu, na którym figura ta jest postawioną, pomimo guseł i podań czysto miejscowej barwy, wydaje się ona zawsze parafrazą Werthera. Tu i tam widzimy nieszczęśliwą miłość, niepodobieństwo, szal — wreszcie samobójstwo. Po śmierci tej jednak następuje to, co stanowczo odróżnia Gustawa od niemieckiego bohatera: wieczna pamięć i pokuta Tam, gdzie

Werther, Ortis i im podobni widzieli koniec wszystkiego, dla polskiego bohatera zaczynała się wieczność.

Wiara podobna dla tych, co ją posiadają, stanowi niepożytą dźwignię; to też Gustaw jest tylko efemeryczną chwilą w życiu naszego mistrza. Gustaw zniknąć musiał, przerodzić się w Konrada... mdłe, roztkliwione dziecię, w niezłomnego męża.

Czémże jest faza ta w działalności Mickiewicza? Krótką, znikomą chwilą. Gustaw stworzył zaledwie kilka sonetów, kilka balad, a wielkie dzieła przypadają w dziale Konradowi.

Podobnej metamorfozy nie przedstawia żadna inna literatura; w naszej nie jest ona wyjątkową. Zrozczenie nie szło w takt ogólnych poczuc; nie mogło trwać długo w piersi prawdziwego poety, bo w społeczeństwie naszym nie było miejsca na Gustawów; wmiarę więc rozszerzających się widokręgów i spotęgowania ducha, osobiste cierpienia milkły wobec wyższych celów, a jeśli spotkał poetę sercowy zawód, znajdował on zawsze pomimo to co czić i co kochać:

Dlatego też jedyny i najsilniejszy przykład choroby wieku daje nam poeta zgasły niezmiernie młodo, Stefan Garczyński, który nie miał czasu dokonać ewolucyi swojej i gąsienicze obłony zwątpienia zamienić na skrzydła motyla nadziei. Bohater poematu jego, Waclaw, jest to czysto Byroniczna kreacya. Garczyński na wcielenie wszechludzkie uczuć nie usiłuje stworzyć fantastycznój postaci, jak to uczynił Malczeski, nie—on poprostu nadaje Waclawowi rysy zapożyczone od ponurych bohaterów angielskiego lorda. Waclaw nie przedstawia nam (przynajmniej w pierwszej części) ani na chwilę

jakiegobądź polskiego typu; nie poznajemy w nim ani magnackiej buty, ani też cech zwykłego szlachcica, ani zgoła nic swojskiego.

„Na czarnym koniu, sam czarno ubrany,
Wcwał leciał, dziko rozpostarłszy szaty.
Płaszcz jego czarny, jako skrzydła ptaka,
Wiatr pod się chwycił—a piana rumaka,
Pęd jego nagły, nozdrze rozognione
I jeźdźca oczy nadół pochylone.
Że wracał gniewny i spieszenie świadczyły.“

Postać ta kosmopolityczna przypomina Łarów, Korsarzy, tak zewnętrzną, jak i wewnętrzną charakterystyką.

.....„Niechaj gmin zwyczajny
Serce swoje, jak papier, na jaw pokazuje;
Wacław inny.—Im większą boleść w sercu czuje,
Tém bardziej w słowach skąpy, w myślach swo-
[ich tajny.“

Jak Manfred, z którym Wacław znajduje się w ścisłym pokrewieństwie, Wacław posiadał wiedzę i dopatrywał jęj nicości. Szukał w naturze Stwórcy i nie znalazł Go.

„Gdzie jest Bóstwo, które ja w piersiach moich
[żywię?

Przyjaźń—zapał—miłość?
Gdzie myśl, co człeka tworzy i różni od zwierza?
Gdzie jest Bóg—Stwórca światła?‘

A jednak Wacław ów wygląda na deklamatora, duma jego zdaje się pożyczoną tylko, a rozpacz nie ma bynajmniej tego indywidualnego

charakteru, którym rzeczywiście odznaczają się prototypy jego, żelazni bohaterowie Byrona.

A kiedy poeta nasz woła, opisując Wacława:

„Jemu, gdyby świat rozwiódł swe krańce
Ciasnoby jeszcze było! — Gdyby Rzym—trzy
[Rzymy,

Dla niego ogniem buchnął, roztoczył swe dymy,
Nudnoby jeszcze było! — Gdyby nektar boski
Anieli w złotych czarach przynieśli mu z nieba,
Gorzakoby jeszcze było...“

“Mnie... (woła dalej) żeby
Bóg się w płomiennym krzaku ukazał Mojżesza
I morzem wszystkie wylały się skarby,
Mnieby Bóg nie pocieszył. Mnie jednego darby
Żaden świata nie zajął, jak dziś nie pociesza.“

Czujemy w tych słowach dźwięk próżny, pojmujemy że człowiek ten musi nosić w samym sobie pustkę, którą widzi wszędzie wkoło siebie, że nie spojrzął nigdy na to, co go otacza, bo znalazłby co kochać i czego pragnąć. Wówczas w skarbnicy Bożej istniałyby dary, którychby mógł pożądać żądzą namiętą, jeśli nie już dla samego siebie, to dla drugich. Darem takim byłoby szczęście bliźnich.

Przypadek tylko przypomina Wacławowi, że ma obowiązki. Spełnia je wprawdzie wiernie, ale w myśli czytelnika pozostaje wątpliwość, czy robi to z rzeczywistego ich poczucia, czy też dlatego, by rozerwać chore serce i zająć wyobraźnię.

Poczucie obowiązku w inny sposób rządzi człowiekiem; wyraz to z resztą wykluczony ze słownika zrozpaczonych i nie bez słuszności. Obowiązek pochodzi koniecznie z wiary, z pojęcia pewnego porządku i ładu, pociąga za sobą odpo-

wiedzialność, opiera się więc na harmonijnym układzie społeczeństwa, któremu oni właśnie przeczyli. Wacław, jak wiele bardzo Byronicznych utworów, nie ma jasnego początku, ani końca. Dziwić się temu nie można, w ten sposób bowiem forma odpowiada myśli. Istoty rzucone przypadkowo w świat, który także nie ma wyraźnego celu, nie potrzebują zamykać dziejów swoich w określone ramy; rządzi nimi traf, lub fantazya.

Wacław jest niezawodnie najwybitniejszém dziełem w tym kierunku, jaki wydała polska literatura; jest cały nawskróś nastrojony na ton jedcn. To téż, pomimo kilkakrotnych pokuszeń się autora o koloryt miejscowy, nie odczuwamy go nigdzie.

Zapewne zczasem Garczyński, w którym niezawodnie był materyał na wielkiego poetę, byłby wyrobił się samoistnie. Śmierć nie dała mu na to czasu. Poemat jego poprzedził inne, daleko wyższe dzieło, osnute na podobnymże temacie, najbyroniczniejszy z utworów Słowackiego, który przechodził tyle faz duchowych i, jak istny meteor, przebiegał poetyczne horyzonty, świecąc pokolei wszystkimi kolorami tęczy.

Ciekawém byłoby wiedzieć, o ile Wacław mógł wpłynąć na poczęcie się tego poematu Słowackiego. To pewna, że poemat Garczyńskiego wydany był rokiem wcześniéj ze Słowacki w liście do matki, pisząc jój o nowéj swojéj pracy, wspomina téż Garczyńskiego, jako wielkiego, przedwczśnie zmarłego poetę. Chociaż więc nie pisze o jego dziele, jest wszelkie prawdopodobieństwo że je znał, a może nawet powziął z niego pierwotną myśl swego utworu, który przez to bynajmnie j nie traci cech oryginalności, albowiem

spoczęło na nim potężne piętno geniuszu i nadało mu nieśmiertelne życie.

Dotąd, w pierwszych utworach Słowackiego, w Arabie, Lambrze, Żmii, widoczne było naśladownictwo; poeta nie zawładnął jeszcze talentem swoim.

W utworze pokrewnym Garczyńskiemu, pomimo mglistych niekiedy konturów i reminiscencyj obcych, są już wybitne, swojskie cechy, a przez to samo jest on stokroć realniejszym od Wacława.

Zwątpienie i rozpacz dziecka w pierwszych scenach, jakkolwiek dziwnemi zdawać się mogą, nabierają kolorytu miejscowego od starego sługi, od bajki jaką on paniczowi swemu opowiada, od samychże oderwanych słów bohatera.

Później postać ta się rozwija; nie jest to już błąd naśladowca typowych poetycznych postaci, jakich widzieliśmy tyle; o lżywa się on innym tonem. Wśród szyderstwa i zwątpienia jego miecza się więcej jeszcze smutku, niż rozpaczy.

Smutek ten nie potrzebował szukać ani szat, ani słów pożyczanych; dobywał się z głębi ducha, znajdował wyrażenia własne, jakich nikt przed nim nie użył i nikt po nim nie użyje, bo wyrazy te nie dają się przystosować na chybił trafił do bezosobistych smutków, ale są właściwością jednego człowieka, należącego do pewnego społeczeństwa, w takiej a nie innej chwili jego bytu.

Dlatego to, co mówi Wacław, może przejść bez echa; to, co mówi bohater Słowackiego, pozostaje w myśli. Nie poddaje on się zrozpaczeniu, nie rozkoszuje niém; przeciwnie, przebiega świat cały, walczy, działa; a smutek jest mu nieodstępny, jak cień włóczy się z nim po niebotycznych szczy-

tach Alp i po wielkich miastach, towarzyszy mu wśród gwaru i ciszy.

„Robak smutku mnie gryzie tak, że mówiąc
[z wami,
Chciałbym przestać, i usiąść i zalać się łzami —“

odzywa się niespodziewanie bohater Słowackiego, wśród mowy zupełnie do innego przedmiotu skierowanej, a słowa te pokazują głębię jego duszy, jak błyskawica głębi chmurnego nieba. Smutek ten rzadko skupia się w słowa; jak mglisty obłok wisi nad myślą; ale odczuwamy go zarówno w milczeniu, jak w mowie, choćby nawet mowa ta nie miała z nim styczności wyraźnej.

Później, w chwili śmierci, w ostatniej spowiedzi, odpowiada on trzema monosylabami na zadane pytania i te trzy słowa znaczą stokroć więcej, niż całe długie tyrady narzekań.

„Przed wieczności drogą (pyta ksiądz) nie masz co komu przekazać na ziemi? Nic. — I nikogo na świecie? — Nikogo. — Nie byliż ludzie przyjaciółmi twemi? — Nikt.

Nic — nikogo — nikt, są to spokojne a najsmutniejsze słowa, na jakie człowiek zdobyć się może, reasumując życie. Odnajdujemy w nich całego Słowackiego. Ileż razy w listach do matki ta sama nuta wyrывa mu się wśród innych opowiadań i myśli, jak dźwięk trwający nieustannie w głębi piersi, pod warstwą powszednich naleciałości życia!

Bohater poety przekonał się naocznie, jak znikomą jest miłość, i nakształt sławnego Mussetowskiego Franka, szydzi ze sprzedajnej kochanki, ale o miłości samej nie zwątpił; przekonał się o maluczkości ludzi, przedstawiających wielkie

idee, lecz o ideach samych nie zwątpił nigdy. Cierpiał, bo gozawiedli ludzie, ale pomimo to zachował nieskalany ideał. Jest to właściwością naszych poetów. Wśród najbardziej ponurych dramatów, kiedy zdaje się że ciemność wszystko pochłonąć musi, a świat stać się koniecznie pastwą złych potęg, w sprzeczności z całą szkołą zrozpaczonych, wysuwają oni zawsze dźwięki pociechy.

Czynił to nietylko Słowacki, u którego smutek przybiera kameleonowe barwy, a rozhukane poloty myśli niezawsze z rzeczywistością zharmonizować się mogą. Odnajmujemy te syntetyczne dźwięki i w innym, nawskróś smutnym poecie, niemniej wielkim, ale może tylko rozważniejszym i konsekwentniejszym od niego, a który zaiste tak w życiowych warunkach, jak i w dziedzinie myśli mógł przebierać pomiędzy słusznemi powodami zrozpaczenia, w autorze Irydyona i Nieboskiej komedyi.

O nieszczęściu cudzém mówić jest zawsze trudno, tak jak sądzić dlaczego człowiek, w tych a nie innych będąc warunkach, cierpiał w taki a nie inny sposób. Miarą jednego serca żadnego innego serca mierzyć nie można; dlatego też cierpień dwóch współczesnych poetów porównywać niepodobna. Niektórzy twierdzą, że cierpienia te były często wymarzone. Niestety, cierpienie jest zawsze realne dla tego, który je znosi, z jakichkolwiek pochodziłoby powodów.

Rozpatrując życie, korespondencye i dzieła obu poetów, widzimy że każdy miał do dźwignia krzyż ciężki. Jednakże krzyż, jaki dźwigał autor Irydyona, zahaczał się o wszystkie uczucia bijące w piersi ludzkiej, serce jego obciążone

było wszystkimi bólami, jakie czuć lub wymarzyć można.

Z tego powodu nadaje on się najlepiej do scharakteryzowania własności naszej poezyi i jej żywotnych pierwiastków.

Gdyby kto mógł kiedykolwiek pomieszać te dwa różne w istocie swojej, choć spotykające się często czynniki smutku i rozpaczania, poeta nasz byłby wymownym dowodem, że największe bóle jeszcze nie są i nie staną się nigdy rozpaczą, dopóki nie przyłączy się do nich zwątpienie. Jak Leopardi, tak i on konał połowę życia, wśród moralnych i fizycznych udręczeń. Zarówno jak włoskiemu poecie, wszystko było mu źródłem bólu, zewnętrzne okoliczności i własne serce, a pomimo to nie rozpaczał. Posiadał dziwną logikę, czyniącą go nieraz jasnowidzącym; ogarniał ludzkość i jej koleje myślą swoją, a straszne problemy społeczne ukazywały mu się w całej grozie, wówczas gdy zaledwie jako zawiązek burzy, pojawiały się na dalekim horyzoncie. Odgadywał on to co stać się mogło, miało, musiało, a pomimo to nie rozpaczał.

Przeczuwał zmęczenie żywiołów społecznych, śmiertelne znużenie nędznych, wściekle żądze budzące się w piersiach wiekuiście wydziedziczonych, nikkzemność i nadużycie panujące w górnych warstwach społecznych; widział ludzkość błakającą się na manowcach, szukającą daremnie wiary jakiej, ideału jakiego, któryby na miejscu zdruzgotanych bóstw swoich postawić mogła.

„Gdzież my jesteśmy, pyta w jednym z poematów swoich, czém my? gdzie Bóg? gdzie ziemia? gdzie niebo? Czyż wszystko tylko snem pełnym złości i bólu?“

Zrozumiał zawczasu owę walkę o byt, którą

Carlyle tak dosadnie skręślił w kilku słowach, twierdząc że pomiędzy dwiema istotami ludzkimi staje niezmiennie ta prosta kwestya: czy mogą cię zabić, lub też czy ty zabić mnie możesz? A pomimo to nie rozpaczał.

Niema w nim najmniejszego optymizmu, łudzenia się, albo próżnej nadziei, że wola lub poświęcenie się jednostki zmienić może bieg wypadków. Zarówno jak Słowacki, w utworze o którym wspomniałam, i on łądzi się też co do wartości przedstawicieli, idej przez siebie ukochanych. Sądzi z nieubłaganą sprawiedliwością winy zarówno własnych sprzymierzeńców, jak wrogów, ludzi co stają pod jego chorągwią, jak tych co przeciw niej walczą. „Ciebie nienawidzę, a nimi (towarzyszami swymi) gardzę,“ mówi hrabia Henryk do Pankracego, w chwili kiedy rozgrywać się ma bój ostatni między przedstawicielami starych i nowych idej... a pomimo to nie rozpaczał.

Historyczne, społeczne i moralne poglądy Kraśńskiego zapisane są w Nieboskiej komedyi, która wśród głuchego i ślepego społeczeństwa uchodziła długo za rzecz niezrozumiałą, a której każda ubiegająca chwila służy za komentarz.

Jest to niezaprzeczenie jedno z pomnikowych dzieł nietylko naszej literatury, ale i literatury powszechnej, ponieważ obejmuje myśl dziejową całej ludzkości. Naprzeciwko siebie stoją dwa stronnictwa nieprzejednane i stoi dwóch ludzi na czele tych stronnictw, hrabia Henryk i Pankracy.

Wśród wścieklej walki żywiołów społecznych, gdy świat stary leży w gruzach, a nowy nie narodził się jeszcze, przypatrzmy się dwóm bohaterom poematu.

Hrabia Henryk, ostatni obrońca szanów Św.

Trójcy, więc dobrze iż nie nie zdoła ocalić tych, których los skazał na zagubę. Spoglądając na nich z wysokości myśli swoich, czuje że oni na los ten zasługują, że w piersiach tych ludzi mieszka strach i fałsz, że każdy z osobna zdradziłby swój sztandar dla ocalenia życia. Pogardzać więc musi ludzką trzodą, na czele której go postawiono, prawie tak samo jak pogardza hufcem Pankracego; pędzi ludzi swoich na śmierć nie w nadziei zwycięstwa, ale dla dogodzenia dumie swojej. Jakby dla lepszego scharakteryzowania chwili i stanowiska swego, rzuca w oczy każdemu z obrońcy Św. Trójcy grzechy przeszłości.

Na znaczeniu figury hrabiego Henryka, jakkolwiek poezją otoczył ją autor, omylić się nie można. On także nie jest bez winy; dumniejszy od drugich, a nieugiętszy od nich, wie zgóry że jest skazanym. A co więcej, nie jest-to wcale człowiek idący, walczący dla niej do ostatniej kropli krwi, do tego ostatniego. Sam nie wierzy w sprawę której służy. To nie poświęcenie, to duma tylko czyni obronę jego tak rozpaczliwą. Wypowiada to wyraźnie, kiedy zostaje obrany wodzem ostatniej garstki obrońców starego rze czy porządku.

„Jestże to dobrze być panem, być władzcą, choćby z łoża śmierci spoglądać na cudze woły skupione naokoło siebie i na was, przeciwników moich, zanurzonych w przepaści, krzyczących z jej głębi ku mnie, jak potępieni wołają ku niebu!

„Dni kilka jeszcze, a może mnie i tych wazystkich nędzarzy, co zapomnieli o wielkich ojcach swoich, nie będzie; ale bądźcobądź, dni kilka jeszcze pozostało — użyję ich rozkoszy mój gwoli,

panować będę, walczyć będę!—To moja pieśń ostatnia!.. I teraz tu stoję na granicach snu wiecznego, wodzem tych wszystkich, co wczoraj jeszcze równymi mi byli.“

W tych słowach hrabia Henryk wypowiada myśl dziejową swojej kasty, siłę jej i dźwignię. To też zapada nad nim wyrok zagłady.

„Zato żeś nie nie kochał, nie nie czcił, prócz siebie i myśli swoich, potępion jesteś, potępion na wieki!“

Przy hrabi Henryku jest tylko syn jego Orcio, niewidomy, marzyciel-poeta, cierpiący przez winy ojców i ginący za nie. Piękny jak anioł, a tak bezsilny, że gdyby nawet naprzeciwno nie stały groźne hufce Pankracego, on nie byłby w stanie podolać zwykłej walce życia.

Jest-to głęboki, filozoficzny pomysł; rasa która wzięła rozbrat z rzeczywistością i pogardzała przez wiele pokoleń twardymi warunkami bytu, musiała wkońcu stać się do życia niezdatną.

W braku hrabiego Henryka, Orcio nie zdoła obronić ani na chwilę szanów Św. Trójcy; może umrzeć za nie tylko. Ginać więc muszą podli i szlachetni zarówno, podli dla win, szlachetni dla bezsilności swojej. Pomiędzy jednym i drugim stoi jeszcze figura, zjawiająca się we wszystkich ważnych chwilach dramatu. Jest nią ojciec chrzestny, uosobienie zwykłej światowej mądrości, czciciel komunału, podług którego reguluje nie tylko słowa i uczucia, ale czyny swoje. Człowiek-to bez przekonań i charakteru, lawirujący umiejętnie wśród trudnych położeń, przekonany o swojej własnej wartości i otoczony szacunkiem ogólnym, może właśnie dlatego, że nań nie za-
sługuje.

Stanowisko jego, nieokreślone przez poetę,

musi być jednak znacznóm, skoro jest on wybrany na ojca chrzestnego pierworodnego syna hrabiego. Zresztą on sam mówi niejednokrotnie o swoich obywatelskich zasługach i życiu. Zapewne powtarza to, co mówili inni, co było uznaném powszechnie. Poznajemy go nad kolébką Orcia i odrazu człowiek ten rysuje się wybitnie z całą swoją moralną wartością. Wśród domowej katastrofy, dotykającej dom hrabiego, gdy hrabina dostaje pomieszania zmysłów, nie traci bynajmniej spokoju, nie zapomina ani na moment o roli, jaką tutaj ma odegrać, i wypowiada mówkę, widocznie zgóry przygotowaną, a niestosowną ani do okoliczności, ani do chwili.

Dla kogo ją wypowiada?

Hrabiego niéma, hrabina obłąkana, Orcio słyszeć go nie może, goście przerażeni słuchać go nie chcą. Ojciec chrzestny jednak od mowy nie odstępuje, czuje się w obowiązku wypowiedzieć jeden z tysiąca komunałów, których ma zawsze pełno na zawołanie.

Później widziemy go, gdy Orcio dotknięty jest utratą wzroku, a wobec cierpienia dziecka, rozpaczy ojca, żalu otaczających, nie znajduje ani jednego słowa współczucia. Tym razem nie sili się na sentymentalny komunał, nie ma albowiem obowiązku go wypowiadać; on poprostu plotkuje z doktorem, opowiadając mu domowe sprawy hrabiego.

Kiedy obrońcy Św. Trójcy konają z głodu w obleżonej twierdzy, ojciec chrzestny, który zapewne zrozumiał oddawna na którą stronę przeważy się zwycięztwo, zjawia się jako parlamentarz Pankracego. Światowa mądrość nie zawiodła go; człowiek ten, który nic nie kochał i ni-

czemu nie współczuł, przynosi dawnym braciom swoim hańbiące warunki poddania.

Czy jednak ojciec chrzestny unika tym sposobem zagłady, jaka spotyka jego kastę? Nie, poeta nasz znał zwykłe koleje wzburzeń społecznych.

Powtarza się z nim wiekuista historia odstępców i zdrajców — ginie wraz z niewolnikami wziętymi na szanccu Św. Trójcy. Hrabiego Henryka tylko chciał ocalić Pankracy, ale hrabia Henryk był z tych, co przeżyć nie chcą sprawy przez siebie bronionej. To odróżniało go od tłumu, któremu przewodził.

Może jednak poeta nasz, widząc ujemne strony części społeczeństwa, z którą był związany krwią i tradycją, nadzieje swoje przerzucił na obóz Pankracego; może walcząc przy sztandarze miłym sobie, szedł za głosem dumy, serca, lub za obowiązkiem tylko; może wbrew wszystkim czynnikom rozum jego pojmował, że to, co było niegdyś, na dzisiaj starczyć nie może, i bolejąc nad upadającym porządkiem rzeczy, wierzył że idea przewodnia Pankracego dać może światu szczęście i zbawienie...

Przedewszystkiém czém jest ten przewodnik ludu, Pankracy wszechsiła, trzymający w dłoniach swoich wolę tysięcy, u którego myśli *i kształty były woskiem palców jego?*

Przyjrząwszy się bliżej Pankracemu, ponnajemy go łatwo; niejednokrotnie pojawiał się on na dziejowych kartach, pod rozmaitemi nazwiskami, zmieniał barwy i wyrazy, stosownie do chwili i słuchaczy, a zawsze przemawiał do ich niskich instynktów, budził żądze użycia, obiecywał to, czego wiedział że dotrzymać nie zdoła.

Nie jest-to wcale szalony marzyciel, ani czło-

wiek uniesiony szlachetną dumą. Motorem jego marna żądza panowania. To jeden z tych, co nie wahają się po stosach trupów sięgać po władzę i świat przemienić w perzynę, gwoli ambicyi swojej.

Pankracy, narówni z hrabią Henrykiem, a może więcej jeszcze od niego. gardzi tłumem jakiego otacza, a nienawidzi wszystkiego, co nad nim góruje.

..Więc co za rada z wami, z *urodzonymi*? — mówi Pankracy. — Jedna tylko: trzeba was odurodzić, żadnemu nie przebacząc, żadnego ze śmiertelnej sieci nie wypuszczając, by raz już krew wasza i szpik kości waszej rozłożył się chemicznie na wieki i zniknął w przestworach.“

Ale czyż Pankracy wierzy przynajmniej, że droga którą obrał jest jedyną drogą przyszłości i szczęścia świata?

Pytanie to zadaje mu Aligier, dobry geniusz hrabiego Henryka, na wiele lat przedtem, zanim obydwaj spotkali się z mieczem w ręku na szan-cach Sw. Trójcy, a zaklina go o odpowiedź w imię wszystkich obowiązków i wszystkich uczuć. Pankracy odpowiada na wszystkie inne pytania, ale to jedno zbywa milczeniem... Milczenie to jest wymowne.

Pankracy nie ukochać nie może; mówiąc słowami Juliusza, ambicya serce mu z pod zeber wyjadła, a rozum jego nadto potężny, by wierzył w mrzonki, któremi karmi stronnictwo swoje. Aby dojść do swego celu, pochwycił prądy wieku, a właśnie ponieważ nie nie kocha, w nic nie wierzy, do celu swojego dojść musi.

Zna on ludzi, wie jakim językiem do kogo przemówić. W scenie z hrabią Henrykiem, od-

malowawszy mu w cudnych kolorach przyszłe szczęście ludzkości, mówi na stronie:

„Zagiąłem palec popod serce jego, trafiłem na nerw poezyi.“

Co do Pankracego więc jeszcze mniej ludzi się można, niż co do hrabiego Henryka. Poeta nie wierzył w jego ideę, ani w niego samego, przeciwnie, wiedział że krew wylana w imię wolności była daremną, jak daremną była krew obrońców Św. Trójcy.

Nie poprzestając na naczelniku, poeta przebywa z nami obóz Pankracego. Tłuszcza pijana winem, krwią i rozpustą, rozbestwiona mordem, woła na całe gardło:

„Zgrzybiali, robaczywi, pełni jadła i napoju, ustąpcie młodemu, zgłodniałemu i silnemu.“

Wśród téj tłuszczy jest wielu błędnych rycerzy powodzenia, kilku renegatów i jeden tylko szaleniec, wierzący w apostołstwo wodza, w świętą misję swoją, w obrzędy nowej wiary i w odrodzone społeczeństwo—Leonard, młody fanatyk, sam bez wahania się ofiaruje głowę dla idei swojej.

„Jesteś żywy, pełen nadziei i wierzysz głęboko—mówi do niego Pankracy—najszcześniejszy z ludzi! Nie chcę cię pozbawiać życia.“

Żadne słowa wyraźniej od tych nie malują stanowiska Pankracego; przebija w nich zniechęcenie i zazdrość nawet. Pankracy na szczycie potęgi, Pankracy, dopiąwszy celów swoich, sam jeden panujący na świecie, Pankracy nie jest szczęśliwym. Ambicja daje upojenie, ale szczęścia dać nie potrafi. Pankracy może nawet lęka się téj rozwścieczonej tłuszczy, którą do niszczenia zaprawił, a której nic do zniszczenia nie zostaje. Mówi on wprawdzie do hrabiego:

„Z pokolenia, które piastuję w sile woli mojej, narodzi się plemię ostatnie, najwyższe, najdzielniejsze. Ziemia takich jeszcze nie widziała mężów. Oni są ludźmi wolnymi, panami jej od bieda. Ona cała jednem miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warstatem bogactw i przemysłu“... ale w chwili gdy, jak Aligier, chcemy wyciągnąć ku niemu ramiona i pytać na klęczkach, czy wierzy w to co mówi, on sam przypomina, że tym sposobem chce trafić przeciwnikowi swemu do nerwu poezyi.

Później, po ostatecznym tryumfie, w podobny sposób przemawia Pankracy do Leonarda. Ale my już mu wierzyć nie możemy. Jest to naturalna mowa wodza w podobnej chwili; chciałby on może rozbudzić wiarę w sobie samym, bo inaczej misya jego dokonana:—niema już nic do niszczenia.

Cóż będzie z nim dalej?

Tak więc poeta nasz w jednakiem potępieniu obejmuje zwycięzonych i zwycięzców; wątpi zarówno o ludziach przeszłości, jak o mrzonkowych zbawcach przyszłości; wie że pierwsi przeminęli bezpowrotnie, a drudzy nic zbudować nie zdołają. Patrzy, jak byronowski Jafet, na ziemię kwitnącą, skazaną na zagładę, która ma być zalaną nowym potopem, ale tym razem potopem krwi.

O społeczeństwie i ludzkości nikt bardziej, nikt ostateczniej zwątpić nie mógł. W podobnym zwątpieniu Byron, Leopardi, Heine, Musset zacerpnęli ów gryzący jad rozpacz, który wprowadzili w życie i w poezyą. Cóż więc obroniło od niej naszego wieszca?

Odpowiedzią na to pytanie jest ostatnia scena z Nieboskiej komedyi.

Wśród trupów pobojuwiska, krwi wylanęj rozszalałej tłuszczy, ponad zwycięzcami i zwycięzonymi ukazuje się na niebie krzyż, jako godło prawdy górującej nad wypadkami. Przed tym widokiem Pankracy daremnie skryć się usiłuje; daremnie woła na pomoc ciemności. Światło krzyża wszystko przenika, światło go zabija.

Galilee vicisti, słowa z którymi kona Pankracy, są wiarą poety. One to bronią go od rozpacz, wskazując ponad płataniną wypadków lub konieczności życia, wyższe nadzieje i wyższą sprawiedliwość.

Tam więc, gdzie wśród rozbicia wszystkich pragnień i nadziei ludzkich ocaleje choć jeden ideał, choć jedna wiara, choć jedna miłość, bądź na ziemi, bądź w niebie, zrozpaczenie miejsca mieć nie może.

Poeta nasz posiadał ten podwójny puklerz.

Serce jego ukochało ideę wielką z taką mocą, że miłość ta czyniła go niemal obojętnym na własną istotę. „To ojciec mój, to matka moja, to wszystko moje,“ mówi on przez usta jednego z ulubionych bohaterów.

Kochał on to wszystko co cierpi, co kiedykolwiek cierpiało. Przebiega myślą wszystkich wielkich męczenników wieków minionych.

„I potępiony zakon — mówi o templaryuszach — kochałem zato, że potępiony.“

Słowo to streszcza nam serce poety, jak *Galilee vicisti* streszcza jego wiarę. Zbrojny miłością i wiarą, przeszedł jak Dante przez piekło życia, nietknięty jego zabójczą atmosferą — *zwątpieniem*.

KONIEC.



LUTYM ROKU 1915.

CA WIOSKA.

F

8428